

Konkurs dla miłośników pop - music!

str. 12

Czytelnikom

DO SIEGO

ROKU...

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

• ROK ZAŁOŻENIA 1933

kamena

NR 26 (846)

29 grudnia 1985

Cena 15 zł



Repr. Arkadiusz Karoń

Ford & Wayne

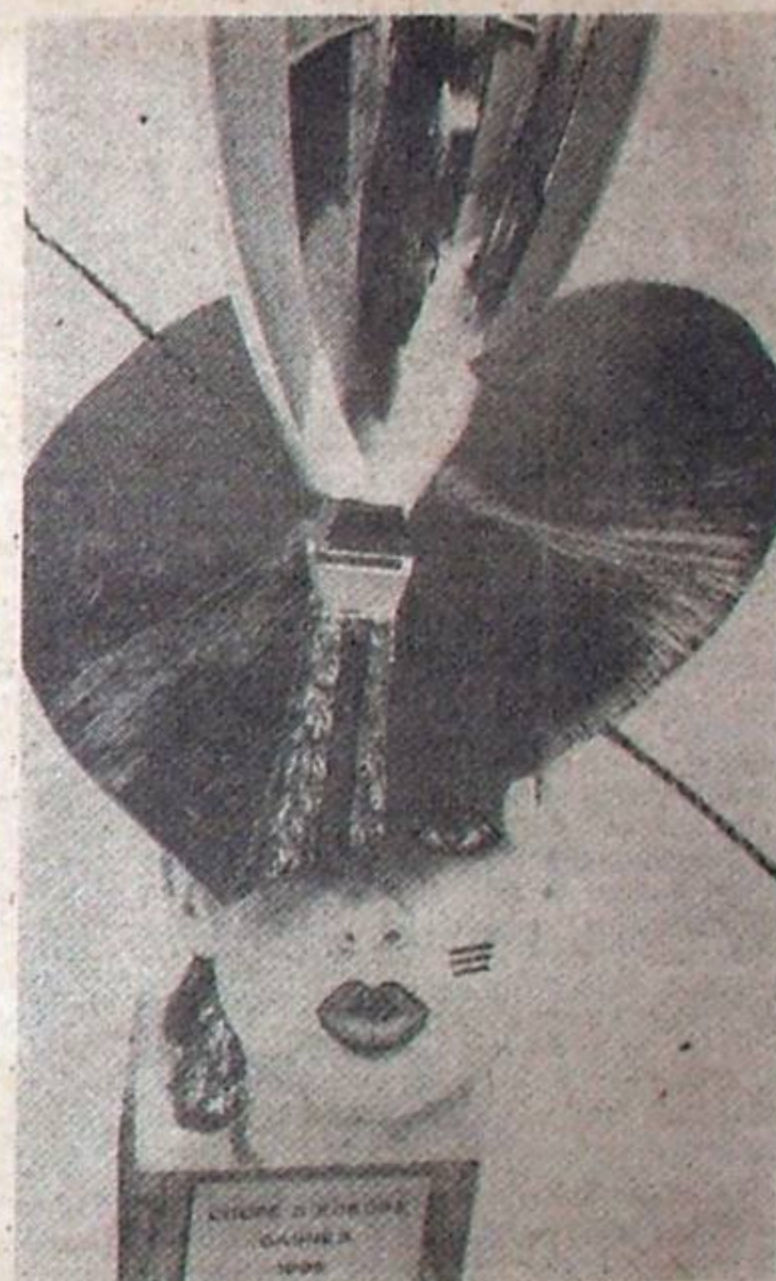
str. 5

Marek & Vacek

str. 4

ON KLAUDIUSZ

str. 6-7



U Łaniewskich

str. 9

Purytanie pala zabijają gwałcą

str. 8

Reduta Rozhina

str. 10

10	11	12	13	14	15	16
26		27	28	29	30	31
41	42	43	44	45	46	47
56		57	58	59	60	61
69	70	71		72	73	74
84		85	86	87	88	89
98		99	100	101	102	103
112	113	114		115	116	117
126	127	128	129		130	131
	141	142		143	144	145
	155	156	157		158	159
168	169	170		171	172	173
183	184	185	186	187		188
197	198	199	200	201		

14 XII. Wróciłem, jak to się mówi, z oalekiej podróży. Nie, nie, nie żadne Indie czy Wietnam (tu kłaniam się memu przyjacielowi ze Szczecina, Bogdanowi Chocianowiczowi, który właśnie tam z małżonką urlopuje), ale Zieloną Górę, a potem Katowice.

Na wstępie chwałę Polskie Koleje Państwowe. Wyjechałem z Lublina pośpiesznie do Warszawy o 12.50. Na Dworcu Wschodnim byłem o 15.30. O 16.15 wsiadłem do ekspresu „Chrobry” i w Zielonej Górze znalazłem się kilka minut przed godz. 23! Muszę dodać, że ekspres z nieznanymi bliżej przyczyn (w każdym przedziale są głośnieki, ale na ten temat nie poinformowano) wyruszył z Warszawy — śródmieście mając pół godziny opóźnienia. I te pół godziny nadrobił na trasie! Znajac PKP, można uważać to niemal za cud!

Mniej entuzjastycznie patrzę jednak na bufety WARS-u, które holdują zasadniczo obrót, duży zysk. Porcja tatarska (50 zł), maselko i chlebek — 174 zł, a flaki drobiowe — 196 zł. We wspomnianym ekspresie cztery paróweczki, polane jakimś sosem, i mały ogóreczek kosztowały mnie coś około 250 zł. Sądze, że tyle samo zapłaciłbym w warszawskim „Forum”. Rozumiem, że reforma, że określone trudności, że kryzys, ale przecież pociągami jeżdżą nie tylko dyrektorzy firm polonijnych i piłkarze z drużyny Piechniczka. Ludzie zaczynają liczyć każdą złotówkę, a flaki drobiowe to nie losos! i skutek jest taki, że bufety WARS-u świecą pustkami, a ich dzielne załogi nie mogą wykonać planu i są również, jeśli nie pokombinują, bite po kieszeniach. Bufet WARS-u ma być sztuką dla sztuki? Komu on powinien właściwie służyć? Mogłoby tu przytoczyć opinie rodaków wyprowadane w chwili studiowania cennika. I nikt nie atakuje WARS-u jako takiego, ale sięga wyżej! Gdyby coś, kiedyś, to ja z góry stwierdzam, że byłem przeciw takim praktykom łupienia podróżnych.

No, ale wracam do zasadniczego tematu.

Do Zielonej Góry przyjechałem na IV Krajową naradę aktywu Stowarzyszenia „Wisła—Odra” połączoną (jak głosiło zaproszenie) z sesją naukowo-publicystyczną na temat: „Układ PRL—RFN — praktyka 15-lecia procesu normalizacyjnego” oraz „Niemy w Polsce i niemiecki rewizjonizm antypolski — między historią a dniem dzisiejszym”. Spośród sześciu referatów dwóch nie przybyło (nawet telefonicznie nie usiłowali się usprawiedliwić, co prezes Stowarzyszenia, red. Edmund Męclewski, gorzko skrytykował) a jeden, chory, przysłał tekst wystąpienia, nieco zresztą kontrowersyjnego, ale z nieobecnym trudno było polemizować. Najbardziej, moim zdaniem, interesujące były referaty doc. dr. hab. Joachima Benyskiewicza („Porozbiorowa kolonizacja i germanizacja na ziemiach polskich, genesa mniejszości niemieckiej w Polsce”) oraz doc. dr. hab. Jana Korbela („Motywacje i skutki tzw. łączenia rodzin między PRL a RFN w latach 1955—1980”). Czynnikiem pewne notatki, ale referaty dopiero po ich wydrukowaniu, co, mam nadzieję, nastąpi, można będzie skomentować. Zbyt to poważne, a niekiedy i delikatne sprawy, dlatego na własnym sluchu polegać zbyt nie należy. Sądze, że w przyszłości wrócić do tematu, zwłaszcza że w styczniu br. ma się odbyć w Poznaniu I Krajowy Zjazd Organizacyjny Stowarzyszenia. Myślę, że do tego czasu zdąży się ukonstytuować

tymczasowy Zarząd Wojewódzki w Lublinie. Na razie wyprzedziła nas Biała Podlaska, no ale ona zawsze uważa się bliższa Warszawie (niż Lublin).

Podziwiam red. Edmunda Męclewskiego, który ma dużo energii, inicjatywy i cały worek pomysłów. Stowarzyszenie „Wisła—Odra” może z powodzeniem — uwzględniając nowe warunki — kontynuować dobre tradycje Towarzystwa Rozwoju Ziemi Zachodnich, a nam, mieszkającym na wschodzie Polski, przybliżyć problematykę Szczecina, Wrocławia czy Zielonej Góry. Nie można zresztą pozostawić obojętnym wobec aktywizacji różnych złoźkstw w RFN, które ciągle marzą o przestawieniu zwrotnicy historii.

W Zielonej Górze, korzystając z okazji, spotkałem się w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki z czytelnikami „Kameny”, Skłamałbym, gdybym napisał, że sala trzeszczała w szwach, ale dyskusja była dość ożywiona i dotyczyła wielu spraw z dziedziny nie tylko kultury. Myślę nieskrótnie, że zdobyłem dla naszego pisma nowych sympatyków, choć smutnie, że „Kamena” była w klubie najbardziej poszukiwana wówczas, kiedy drukowała serial o Bruce Lee. Autor serialu może się poczuć w pełni usatysfakcjonowany, ja, przyznam — nieco mniej, ale de gustibus...

Zaopatrzenie Zielonej Góry wydało mi się bogatsze niż zaopatrzenie Lublina. Kupiłem kilka książek, których w naszym mieście szukałem bezskutecznie. W sklepie spożywczym rzuciło mi się w oczy pięć gatunków konserw mięsnych, była też kiełbasa z jagnięt (bez kartek), choć droga (bodaj 650 zł za kilogram). Nie próbowałem. Jedyne większe kolejkę dostrzegłem przed sklepem ze sprzętem radiowo-tel wizyjnym, ale co mieli „dawać”, nie wiem.

Następnym etapem mej podróży, jak się rzekło, były Katowice. Klub Redakcyjny Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL zorganizował tu sesję wyjazdową na temat racjonalizacji zatrudnienia dziennikarzy a także określenia modelu redakcji. Gościliśmy w pięknym Klubie NOT-u przy kopalni „Czerwona Gwardia” (dawniej „Saturn”) w Czela-dzi. To już Zagłębie, a nie Śląsk. Mie-liśmy możliwość obejrzenia interesującego muzeum: stare księgi kopalni, wypełniane w języku rosyjskim, dokumenty z przeszłości. Była też jedna z pierwszych maszyn do pisania: przed naciśnięciem klawisza należało naj-pierw ustawić czcionkę, którą ma się zamiar zastosować. Napisanie w ten sposób strony maszynopisu musiało trwać wiecznie! Muzeum, w którym przeszłość miesza się z trudnymi latami powojennej odbudowy, stanowi temat sam w sobie. Pomyślałem, że już dziś warto pomyśleć o gromadzeniu materiałów poświęconych tworzeniu Lubelsko-Chelmskiego Gwarectwa Węglowego. Może wyważam otwarte drzwi, ale przemawia przede mną troska o tych, którzy przyjdą po nas.

O samej sesji trudno mi szerzej pisać, bo omawialiśmy problemy wewnątrzredakcyjne. Niech jednak nikt nie wierzy, że dziennikarze kroczą po drodze usłanej różami. Z troską mówiono o dziennikarzach starszych, którzy często nie mogą sprostać nałożo-nym nań zadaniom, a ich położenie materialne jest śmieśniewo niskie. Wyrażano opinie, że w wielu redakcjach najwięcej zarabiają ci, którzy piszą i szybko i byle jak. Domagano się odpowiednich preferencji finansowych dla dobrej publicystyki, dla reportażu. Preferencji, a z drugiej strony oszczędności, co stanowi próbę pogodzenia ognia z wodą.

Też zabierałem głos w dyskusji i podkreśliłem, że gdy mówimy o oszczędnościach, to przede wszystkim należałoby ich szukać w stolicy. Po co tak wielki personel techniczny jest w pewnym piśmie wojewódzkim (sekretarz redakcji, dwóch zastępców, dwóch pracowników sekretariatu, grafik, trzech redaktorów depeszowych, dwóch technicznych)? Przypomniałem, że kiedyś pracowałem w „Głosie Szczecińskim” i wystarczył wówczas sekretarz redakcji, jego zastępca, dwóch depeszcistów i jeden redaktor techniczny! Sądze, że praca redakcyjna też się nieco zburowokracytowała, a ilość nigdy nie zastąpi jakości. Zbyt duże są też rozpiętości w rozdziale honorarium. Rozumiem, że dzienniki w zasadzie przynoszą dochód a prasa społeczno-kulturalna — deficyt. Powodują to różne względy: wiadomo, że im większy nakład, tym większe koszty poszczególnego egzemplarza. Wiadomo, że ogłoszenia chętniej znajdują klientów w pismach wielonakładowych, a ogłoszenia to określony dochód. Ale również wiadomo, że w dzienniku można pisać codziennie, a nie raz na tydzień, raz na dwa tygodnie czy raz na miesiąc. W końcu dojdzie do tego, że w pismach społeczno-kulturalnych będą pracować sami hobbiści lub entuzjastki. Entuzjastów mamy jednak coraz mniej. Starzy wymierają, a młodzi? Hej, opuszczę kurytynę...

16 XII. Czytam „Kurier Lubelski” i oczy przecieram. Kawalkada piętnastu samochodów wyjechała z zajezdni z Helenowa. Przed Ratuszem oczekiwali gospodarze miasta. Złożono im meldunek; następnie gospodarze wsiadli do jednego z wozów, przejechali przez pół miasta udając się do nowej zajezdni MPK. Samochody były, oczywiście, prawie puste, nie więc dziwnego, że dziennikarz pisze o jeździe „po królewsku”.

Ratusz lubelski miesiąc się przy placu Lokietka. Król ten ładnie zapisał się w naszej historii. To tylko za króla Sasa jadło się i popuszczano pasa. Może czas zmienić nazwę placu?

Ja wierzę, że nowa zajezdnia jest ciepła, czysta, „wszędzie gładura, terakota”. Dobrze, że ją zbudowano. Ale wiem również, że trzeba czekać na przystankach wypatrzyć czerwonego autobusu. I wiem, że nie jesteśmy Kuwejtym. „Takiej kawalkady czerwonych autobusów — pisze „Kurier” w podpisie pod zdjęciem — najstarsi mieszkańcy Lublina nie pamiętają.” Dodabym: „gdy paliwa było w bród...”

Miasto bogate. Zapłaci. Zapewne radni podniosą podatek od psów. Bo i gospodarka chwilami jest pod psem.

19 XII. W świątecznym numerze „Słowa Podlasia” artykuł I sekretarza KW PZPR w Białej Podlaskiej, Czesława Staszczaka. Notuję ten fakt, bo pierwszy sekretarze raczej udzielają dziennikarzom wywiadów (często po długich namowach) niż sami piszą. Z obszernego tekstu wyłóżam taki fragment: „Na finiszu znajduje się pawilon szpitalny w Parczewie, przychodnia w Łosicach i Wojewódzka Przychodnia Specjalistyczna w Białej Podlaskiej. Ta ostatnia inwestycja, realizowana przez firmę polonijną „International”, nasuwa gorzką refleksję, że nasze państwowe firmy budowlane nie mają monopolu na przewlekle i mało efektywne działania. Są za to nieco skromniejsze w składaniu deklaracji bez pokrycia”.

Deklaracje deklaracjami, a forsa forsa. Oto „Kontrasty” zamieścili fragmenty listów, jakie nadchodzi z całej Polski do polonijnej firmy „Inter-Fragrances”, na której czele stoi p. Ignacy Z. Soszyński. Emeryci, inwalidzi, ludzie znajdujący się w trudnych warunkach materialnych, proszą o pomoc finansową. Pan Soszyński nie odmawia, wysyła po pięć, dziesięć tysięcy złotych. Ma gest, no ale przede wszystkim ma pieniądze. Zazdrość mu nie należy, bo na tego, kto ma mamonę, wszyscy patrzą podejrzliwie.

Dokładnie na swe siedemdziesiąte urodziny Urząd Wojewódzki w Poznaniu wszczął przeciwko niemu postępowanie administracyjne „w przedmiocie cofnięcia” udzielonego mu zezwolenia na prowadzenie przedsiębiorstwa. Jednocześnie podjęte zostało przeciwko niemu śledztwo o przestępstwa spekulacji. Soszyńskiemu zarzucono, że bogaci się w sposób sprzeczny z prawem i zasadami współżycia społecznego w państwie socjalistycznym. Ostatecznie śledztwo umorzono wobec „nie stwierdzenia w zarzucanym mu czynnie znamion przestępstwa”, niemniej postępowanie administracyjne „w przedmiocie cofnięcia” trwa nadal...

Jaki będzie finał, zobaczymy. Zie p. Soszyńskiemu nie życzę, bo w takim np. 1984 r. przeznaczają na cele społeczno-charytatywne 25 933 570 zł i 250 franków francuskich, a w pierwszym półroczu br. 7 581 344 zł, 200 dolarów USA, 125 funtów brytyjskich i 25 000 rubli. Musiał? Oczywiście, że nie. Znamienne, że wśród tych, którzy proszą p. Soszyńskiego o pomoc finansową (na różne cele — na nagrody, na organizację mityngów sportowych, na pomniki, na sztandary) są m.in.: Polski Związek Lekkiej Atletyki, Towarzystwo Przyjaciół Dzieci, „Monar”, Automobil Wielkopolski, Związek Inwalidów Wojennych PRL, Związek Socjalistycznej Młodzieży Polskiej (ściślej: Zarząd Wojewódzki w Jeleniej Górze) a także... Gwardyjski Klub Sportowy Olimpia w Poznaniu. Tu już p. Soszyński ma rękę bojniejszą. A takie np. Polskie Towarzystwo Kardiologiczne otrzymało od firmy na organizację swego zjazdu aż 300 000 zł; nieco mniej, bo 200 000 zł, dostał Komitet Organizacyjny Wyciągu Kolarskiego Dookoła Polski.

Mój komentarz? Zamiast niego smutna refleksja: „Kamena” bardzo skromnie obchodziła swoje pięćdziesiątce. Ze też nie wpadliśmy na pomysł, by zwrócić się do p. Soszyńskiego... Pozostaje z polonijnym pozdrowieniem!

M. A. Jaworski

PRZYŚLUCHUJĄC się obradom listopadowego plenum KW PZPR w Lublinie, podczas których rozważano obecną sytuację gospodarczą województwa i główne zadania przyszłej pięcioletki (1986—1990), doszedłem do prostego wniosku, że na ogół jest w tej sferze tak, jak w sklepach: lepiej niż było, czasami — znacznie lepiej, choć pewnych podstawowych produktów nadal brakuje. Wzrosła oferta przemysłu, przetwórstwa rolno-spożywczego i drobnej wytwórczości, ale ciągle w depresji znajduje się np. uspołecznione budownictwo mieszkaniowe, które do października włącznie zdołało wykonać zaledwie 67,1 proc. rocznego planu, zanizonego zresztą w stosunku do zadań 1984 r. Dobrze rozwija się rolnictwo (wręcz wyróżniające się w gospodarce województwa), które mogłoby przecież dać więcej, gdyby nie brak wody na wsi, szczególnie w tzw. leju świdnicko-lubelskim, nierzadko niski jeszcze poziom agrotechniki i poważne szczyby w bazie magazynowej i przetwórczej, powodujące np. straty wielu ton buraków cukrowych. Wśród zjawisk radujących polityków i ekonomistów obserwuje się ponadto: stabilizację rynku i rosnące zaufanie do złotówki, o czym świadczy wzrost wkładów na indywidualnych kontach bankowych, które jeszcze niedawno, w nerwowej atmosferze, oglašaliśmy pod groźbą postępującej inflacji.

Pomyślna sytuacja w kilku dziedzinach gospodarki nie rysuje jednak, w sposób automatyczny, trwałej perspektywy takiego rozwoju produkcji dóbr, który byłby proporcjonalny do potrzeb społecznych. Gospodarka bowiem to maszyna, w której wszystko musi „grać”, zająbiać się: tryb w trybik, śrubka w dziurkę — by w ogóle mogła funkcjonować. Pamiętamy te „śmieszne” przypadki, gdy brak sznurka unieruchamiał w żniwa snopowiązalki, a niedostatek kilkudziesięciocentymetrowych pasków klinowych — monumentalne „bizony”. Pamiętamy, co działo się w szpitalach i przychodniach, kiedy zabrakło waty, strzykawek jednorazowych, zwykłego mydła i środków czyszczących, nie mówiąc o niciach chirurgicznych i lekach... No i widzimy, co dzieje się w budownictwie, które wszak polega na montażu elementów wyprodukowanych w różnych branżach.

Sekretarz KW Witold Przybylski w referacie i wojewoda Tadeusz Wiik w wystąpieniu na wspomnianym plenum stwierdzili z mocą, że mimo wszelkie przeszkody zrealizuje się przecież zaplanowane 3500 mieszkań w budownictwie wielorodzinnym, koncentrując na tym „froncie” wszelkie dostępne siły: ludzkie, techniczne, ma-

PRAWY, wrotkowski brzeg Bystrzycy wypiętrza się nieco ponad łakami. Krawędzią zboczya biega niziutki domki. Mało który podskoczy piętkiem wyżej. Przysiada, jakby go kolnał gąszcz tarniny. Stodoły dożywają swojej drewnianej starości. Pachną starym sianiem lub wiatrem, który wymiotti z nich dawny dostatek. Jest trochę drzew i reszta murów po wodnym niegdyś młynie. Oczodoły okien nie odbijają już ani wody, ani łak, ani nieba. Młyn ucichł jakieś trzydzieści lat temu, teraz ubywa go cegła po cegle.

Od wiaduktka kolejowego — przy ul. Wrotkowskiej — wciska się między zabudowania wąska ścieżka. Blotniście tu i stromo. W górze rozciągnięte na sznurach pranie kryje gładzące dróbiem podwórka. Niżej — dachy. Strach tupnąć, by noga nie ugrzęzła w którymś z nich. Można zejść schodkami w dół. Skrzypląca studnia pada ramię, a niskie sztachety podeprą. Rzeka cicho podchodzi do brzegu i cicho też polyka rzucony kamień. Przemija czas „starego” Wrotkowa. Tej dawnej, podlubelskiej wsi, rozciągniętej wzdłuż nadzecznej niegdyś drogi, i rozrosłej do ulic Nałkowskich i Romera.

Jest to zaledwie skrawek dzisiejszej, rozległej dzielnicy Wrotków, na którą „złożyły” się Majdan Wrotkowski, aż po Stary Las, cała ulica Krochmalna z Cukrownią i łakami, aż po Park Ludowy, przemysłowo-składowe ulice: Diamentowa, Energetyków, Budowlana, Przy Boczny, łączące północny Wrotków i ulicę Nowy Świat z ulicą Zembrzycką, no i powstałe za ścianą „starego” Wrotkowa osiedle im. Nałkowskich. Będą więc musiały ustąpić

Kupon Konkursowy „Dla miłośników muzyki pop!”
str. 12

Ekonomiczna śrubka w dziurce

Tadeusz Graba

terialowe. Znaczący to np., że fabryka w Niemczech dodatkowo wyprodukuje ileś tam tysięcy sztuk cegły sili-katowej, lubelski „Ursus” natęży muskuły i da więcej grzejników. No i do-brze, ale skąd weźmie się materiały wykończeniowe, instalacyjne, farby i lakiery, skoro tych deficytowych dóbr nie wytwarzamy w województwie? Za-pewne, znajdują się — może ściągnięte z innych terenów, trochę na zasadzie przyczynka do innej prawdy general-nej: że lokalna maszyna gospodarcza jest elementem ogólnokrajowej struk-tury ekonomicznej. Niska produkcja Zakładów Azotowych w Puławach o-słabia potencję całego rolnictwa, w tym oczywiście śląskiego, a z kolei niedostatek węgla dla wsi uderza w hodowlę zwierząt i warunki życia na-szego chłopca...

Można oczywiście zauważyć, że jest to mechanizm znany — choćby z ele-mentarza Falskiego — więc po co to gaworzenie? Odpowiadam: bo respekt dla podstawowych reguł ekonomicz-nych nigdy nie był u nas zbyt duży. Przy końcu lat sześćdziesiątych Lu-belszczyzna zabiegala o zlokalizowa-nie na swoim terenie faktycznie po-trzebnej, sporej cukrowni, lecz obiekt ten wzniesiono w białostockich Ła-pach, bo tamtejsze lobby polityczno-gospodarcze miało silniejszą pozycję w stolicy — pozycję, nie argumenty, co pośrednio potwierdzają dzisiejsze decyzje budowy takiego zakładu w Wilkołazie, który całkowicie rozwiąże problem przerobu buraków w woje-wództwie. Nikt i nic nie wydobędzie już jednak cukru z tych tysięcy ton buraków, które tymczasem zdążyły się zmarnować w regionie.

Obecnie czekamy na inne ważne de-cyzje centrali: dotyczące podjęcia pro-dukcji nowego, rodzimego modelu żu-łka w FSC oraz określające przyszłość poniatowskiej „Edy”. Brak jasnych rozstrzygnięć w tej materii na pewno nie polepsza samopoczucia licznych za-lóg owych zakładów.

Jak się rzekło, wszystko gra, jeśli śrubka pasuje do dziurki, a interes jednostkowy czy grupowy pokrywa się z interesem ogólnogospodarczym (czytaj: społecznym). Tymczasem na Lubelszczyźnie obserwuje się nadmier-nie rozwinięty „front inwestycyjny”,

czyli coś, co skutecznie rozkłada ideę racjonalnej gospodarki, podnosi koszty budownictwa, w nieskończoność prze-dłuża wznoszenie obiektów, ostatecz-nie — demoralizuje wykonawców, którzy z oczywistych powodów nie mogą zrealizować pękatego portfela zleceń, po prostu pozorują robotę. Sa-motny (nie licząc kundelka) stróż na wielkim placu rozpapranej budowy, kilku robotników podpierających wspi-nającą się w niebo ścianę — takie obrazki stale proponuje nam telewiz-ja, gromiąc złą organizację pracy i lenistwo budowlanych. W tym współ-czesnym moralitacie brakuje przecież postaci daleko ważniejszych, bo de-cydujących np. o tym, że w 10 m.esi-ach bieżącego roku uruchomiono na Lubelszczyźnie 332 nowe budowy (kończąc równoległe tylko 247), mimo powszechnie znanego braku ludzi, ma-teriałów, sprzętu i maszyn. Co się za tym kryje: lobby czy hobby?

Władze zapewniają, że położą kres takim praktykom, ograniczą rejestr nowych inwestycji, skoncentrują siły na rozpoczętych i takich, które gwa-rantują szybkie efekty społeczne. Chwalebne, lecz trudne to zadanie, al-bowiem postawy egoistyczne i party-kularne rozpleniły się w wielu pod-stawowych jednostkach społeczno-eko-nomicznych.

Otóż reforma gospodarcza: powita-na przez większość rodaków jako pa-naceum na wszelkie zło gospodarcze. I owszem, nadzieje te powolutku za-czynają się spełniać, czego dowodem np. sytuacja Kraśnickiej Fabryki Ło-żytek Tocznych, która mądrze i kon-sekwentnie wykorzystując status przed-siębiorstwa samodzielnego, zbliża się do poziomu produkcji z najlepszych swych lat, a jednocześnie „daje” za-robić załozce — bo wysokość płacy uzależniono tam od jakości i natęże-nia roboty, dyscyplinując ów związek obiektywnymi kryteriami oceny.

W szerszej perspektywie widać prze-cież coś innego: galopujący wzrost płac (o 17,7 proc. w stosunku do ub. roku), nie znajdujący uzasadnienia w zwiększonej wydajności pracy, która w gospodarce województwa podsko-czyła raptem o 0,8 proc., a w samym przemyśle nawet zmalała (o 0,1 proc.). Wiele przedsiębiorstw ratuje się z nie-gospodarności zawyżaniem cen swoich produktów, pojmując reformę w du-

chu wolnoamerykanki, która kładzie na łopatkę komentatora, nie mówiąc o tym, że kompromituje ideę wielkiej i nieodzownej reorientacji naszego trudu narodowego, dostarcza argumen-tów jej przeciwnikom. Zupełnie nie wiem, jak w tej sytuacji interpreto-wać współzawodnictwo pracy, zaini-cjowane na Lubelszczyźnie przez 14 zakładów, do których dołączyło ostat-nio dalsze 40. Popiera się ten ruch, wychodząc z założenia, że dobrej woli i entuzjazmu nigdy za dużo, a subiek-tywne nastawienia powinny owocować wymiernym i pożądanym efektem ekono-micznym, nie mówiąc już o war-tościach moralnych.

Kwalifikacja uwarunkowań ludz-kiej działalności i jej skutków to prze-cież tajemnicza operacja. Wśród czyn-ników subiektywnych, negatywnie wpływających na stan gospodarki, nie-kilku publicyści postrzegają m.in. złą organizację pracy, brak troski o osz-czczędanie materiałów, surowców i e-nergii, niską dyscyplinę załóg, absen-cję... Czerpiąc dane ze wspomnianego referatu, zaznacza się przy tym, że na jedną osobę zatrudnioną w gospodarce upośledzonej naszego regionu przypada średnio aż 140 godzin nie-obecności w pracy, co odpowiada, sum-ma summarum, wyłączeniu z ruchu zakładu z 10-tysięczną załogą. Ze ma-my 7000 wolnych miejsc pracy, a na jednego robotnika czekają 44 takie miejsca — do wyboru. Ze w niektó-rych wielkich fabrykach odczuwa się brak ludzi na ponad połowie stano-wisk. Ze co piąty pracownik zmienia pracę (czasami porzuca) raz w roku. Ze w kilku przedsiębiorstwach nie o-bowiązuje lista obecności. Ze ciągle mamy zbyt liczną a nawet rosnącą administrację...

Idąc dalej tym rzekomo subiektyw-nym tropem, po stronie obiektywnych przyczyn dewiacji gospodarczych trza-ba by chyba zostawić tylko brak im-portowanych surowców i urządzeń, de-kapitalizację parku maszynowego, na-de wszystko przecież — ciężkie mro-zy i zawięte śnieżne, straszliwe po-wodzie, niebywale gradobicia, trzęsie-nia ziemi i erupcje wulkanów...

Niestety, wulkanów brak, a Istota sprawy leży w tym, że wymienione czynniki oraz fakty wcale nie są su-biektywne, lecz stanowią całkiem o-biektywną funkcję rzeczywistości, któ-

ra ciągle szamocze się między starym a nowym modelem gospodarczym i to w warunkach jeszcze kryzysowych. Jeśli drugi model wygra wreszcie i naprawdę, na co liczymy, wymienio-ne wyżej „subiekty” wyrzucone zosta-ną na zwyczajny margines życia zbio-rowego, jako karygodne odstępstwa od normy, albo po prostu ulegną anihilacji w twardej trybach gospodarki opartej na zdrowej konkurencji, a nie na takich lub innych emocjach, sloga-nach, manipulacjach księgowych. Na pewno zniknie ten bezprecedensowy w dziejach świata fenomen, jakim jest niedostatek rąk do pracy w kraju, któ-rego dochód narodowy spadł o 25 proc. W przeciwnym razie...

W przeciwnym razie przyjdzie nam pogodzić się z myślą, że w większości jesteśmy społeczeństwem tak zanatchi-zowanym i zdemoralizowanym, iż każ-dy model gospodarczy potrafimy pod-porządkować staropolskiej zasadzie „ręka rękę myje” albo „hulać dusza, piekła nie ma, jak nie Ruskie to kow-boje nas wyżywią”. A propos: w ręce nauczycieli polskich oddano niedawno sprawę rozdziału przedemerytalnego dodatku motywacyjnego, zalecając — co zrozumiale — by kwotę tę otrzy-mali pedagogzy rzetelni, o nienagan-nej postawie społecznej i wysokiej kulturze osobistej, pracujący w szko-lnictwie ponad 30 lat. No i środowisko demokratycznie uznało, że prawie wszyscy nauczyciele z takim stażem zasługują na ową premię. W kąś po-szły kryteria merytoryczne, górę wzię-ły — tzw. ludzkie, emocjonalno-to-warzyskie. A unikaty, które musiano już wykluczyć z podziału, podniosły taki raban, że...

Jedno jest pewne: że bez sprawnie funkcjonujących mechanizmów refor-my gospodarczej w łeb weźmie postu-lat oszczędzania energii, paliw, surow-ców i materiałów, uznany w przy-szłym planie 5-letnim za jedną z głów-nych dźwigni wzrostu potencjału gos-podarczego całego kraju. Oszczędność to już zresztą coś więcej, niż postu-lat. To twarde i fundamentalne zada-nie, które musimy rozwiązać, jeśli w najbliższych latach chcemy zbudować na Lubelszczyźnie 31 700 mieszkań, 10 szkół, 20 przedszkoli, mleczarnie, ma-gazyny zbożowe, jeśli chcemy dokoń-czyć trasy W-Z i N-S, oczyszczać ścieków i teatr w Lublinie.

Pożegnanie starego Wrotkowa

Marta Denys

placu wrotkowskie domiki potrzebom staw „przez Kozaków przekopany”. All-ści czynsze, jakie pobierano z młyn w XVIII wieku, dowodziły jego po-nowej sprawności. W 1843 roku na miejscu drewnianego wzniesiony zo-stał nowy. Jak się okazało, był to pierwszy murowany młyn wodny w Lublinie! Dwupiętrowy, kryty siodło-wo, z gęsto rozmieszczonymi okien-kami, kantorem i magazynem. Jak wspominał starsi mieszkańcy Wrot-kowa, znakomicie mielił zboże na mą-ki i kasze.

Zbiera się zatem ulica Nalkowskich — w dawnej swej części — do wypro-wadzki. W obejściach złożono już to, co w nowych mieszkaniach na pewno nie będzie potrzebne: chrust, kamie-nie, piach, żelastwo; czarne kocury, które szaleją na płotach.

Wypis z dziejów wsi i młyna

Jak stary jest Wrotków? Znalezione archeologiczne wskazywałyby na to, że Wrotków jako osada istniał już w XII—XIII wieku. Może jako „wrota” strzegące przeprawy na Byszczyce? Dokumenty wymieniają tę wieś w XV stuleciu. Jej właścicielem mógł być Wrocisław lub Wrotko, stąd też i na-zwa. Starosta lubelski wydzierżawił tu wójtostwo, a przywileje królewskie z 1405 i później 1439 roku gwarantowały z tej wsi uposażenie dla wójty w „rozmiarze” 3 łanów ziemi, karczmy i stawu. Był na nim młyn królewski na „3 kół mącznych, z którego 10-tą miarę pobierały też od 1526 roku lu-belskie brygidki”.

Różnie układały się sprawy związane z dzierżawą owego wójtostwa i później-szej własności wsi, lecz młyn zawsze był w centrum uwagi miasta i Wrotkowa. W czasie Potopu został zniszczony, a

dalej, rok po roku, kolejni kierownicy wrotkowskiej szkoły notowali codzien-ne i odświętne jej wydarzenia.

dalej, rok po roku, kolejni kierownicy wrotkowskiej szkoły notowali codzien-ne i odświętne jej wydarzenia.

Wiosną uczniowie sadzili drzewka wokół szkoły i w okolicy. Czy został choć jeden z owych 50-ciu świerków, które dla szkoły ofiarował w 1925 r. Zarząd Lasów ordynacji kozłowieckiej? Albo z owych 465 lip posadzonych po obu stronach drogi z Dziesiątej do Da-browy? A z czeresni wzdłuż drogi z Wrotkowa do Zemborzyc?

Po raz pierwszy mali wrotkowi-anie zobaczyli morze w 1933 roku. Ty-lko dziewięcioro stać było opłacić 15-złotowy koszt wycieczki. Chłopcy ze Związku Strzeleckiego popłynęli nato-miast do Gdyni na dwóch kajakach. Wrócili cali i zdrowi po trzech tygod-niach. W kronice szkolnej zanotowano: „Nie mniej Kolumb cieszyłby się z od-krycia Ameryki, niż Wrotków, że uda-ło mu się być nad morzem, i to polskim morzem”. W czerwcu kończył się rok szkolny. Były popisy chórów, obrazki sceniczne i wspólne fotografie po 45 groszy sztuka. I znów pierwsze wrze-sień i pierwsze dzwonki. W 1926 roku szkarlatyna opóźniła rozpoczęcie nauki, w 1939 — wybuch wojny.

Na marginesie kroniki

Na krótko przed wojną, w maju 1937 roku, odwiedziła Lublin i Wrotków Zofia Nalkowska, „aby zobaczyć miej-sce, gdzie stał ostatni dom dziadków

Dokończenie na str. 11

Z kroniki szkolnej

Zwykły, liniowy zeszyt, większego rozmiaru. Jak na rok założenia kro-

niki, kartki nie nazbyt pożółkłe. Oto „kniha dla wpisywania zamieczania... zawiediona w januarie 1872 goda”. Proto-koly szkolne kaligrafowane w starej rosjskiej pisowni odczytać mogą już tylko biegli w tej sztuce. Dla nie-wprawnych jest to istna „Enigma”, choć zanotowane tu relacje niosą za-pewne zwykłą, urzędową treść: kto, kiedy, ile, jakie oceny, z jakich przed-miotów itp. W 1915 roku kronikę wznawia polskim już zapisem pani Zofia Miklaszewska „zamianowana” — jak to wtedy określano — przez radę szkolną, prezesa i gospoda-rzy nauczycielką i kierowniczką tej szkoły. Informuje ona we wstępie, iż szkoła we Wrotkowie istnieje od 1866 roku, jak również i o tym, że od 1906 roku jej kierownikiem był pan Marcu-lewicz, który w czasie ewakuacji wy-jechał w 1915 roku do Rosji. Z pierw-szym wrześniem do trzech oddziałów szkoły zapisano 130 uczniów. Szkoła dysponowała jedną klasą. Lekcje od-bywały się w dwóch kompletach — porannym i popołudniowym. Zniechę-cilo to rodziców i dzieci, których tyl-ko 25 wytrwało do końca roku szkol-nego. Placa nauczycielki wynosiła po 1 koronie i 50 halerzy od ucznia, z czego nauczycielka zobowiązana była zakupić naftę do szkolnych lamp. W drewno na opał zaopatrywali szkołę miejscowi gospodarze. Na zakończenie roku egzaminów i popisu nie było.

Tyle pierwszy kronikarski wpis. A

MAREK i Vacek narodzili się w firmie Barclay. Nie tylko w sensie artystycznym, z powodu nagrania tam swojej pierwszej płyty, ale także dlatego, że to właściciel wytwórni wpadł na pomysł zastąpienia nazwisk Kisielewski-Tomaszewski, zbyt trudnych do wymówienia dla Francuzów, imionami Jak łatwo zauważyć, nastąpiła inwersja na pierwszym miejscu znalazł się tym razem Marek, a „V” zastosowano po to, by na Zachodzie nie wymawiano z amerykańską „Locek”.

Wszystko to zdarzyło się mniej więcej 20 lat temu, a młodzi absolwenci warszawskiej PWSM dopiero śnili o karierze. Nie o takiej jednak, do jakiej namawiał ich prof. Drzewiecki, marząc o uczestnictwie swych wychowanków w Konkursie Chopinowskim. Dwóch rówieśników nęciło inne wykonawstwo, więc zaczęli grać razem, odrzucając powagę. Słuchacze polscy pamiętają ich przede wszystkim z udanych transkrypcji utworów muzyki poważnej, uwypuklających temat łatwo wpadający w ucho. Dziś grają także w ten sposób, ale też i inaczej.

Nie mamy okazji zbyt często słuchać ich w Polsce. Marek Tomaszewski mieszka na stałe w Paryżu z żoną, która jest grafikiem, i trzema synami. Od 10 lat głównym terenem działalności obydwu muzyków są Austria i RFN, gdzie zdobyli ogromną popularność, gdzie regularnie koncertują i nagrywają nowe płyty. Stamtąd też wyruszają na liczne tournée. To polskie jest już drugim w tym roku, a złożyło się nań aż trzydzieści koncertów w różnych miastach. Ktoś, kto choć trochę zna sytuację naszego rynku muzycznego, mógłby zdziwić się, skąd znalazło się u nas co najmniej kilkanaście miejsc, dysponujących dwoma dobrymi fortepianami naraz. Jest to bowiem instrument deficytowy i głównie ze względu na swe rozmiary nie da się przemieszczać w futerałach.

Właśnie przypominała mi się pewna anegdota, opowiadana barwnie przez Lucjana Kydryńskiego, a związana z działalnością koncertową Władysława Kędry. Wybitny pianista występował zarówno w wielkich miastach Europy, jak i w małych miasteczkach. Pewnego wieczoru zawiązał na prowincję, gdzie miał się odbyć jego recital fortepianowy. A ponieważ w zwyczaju prof. Kędry leżało pojawianie się w ostatniej chwili, i tym razem wpadł jak burza na salę, wypełnioną po brzegi publicznością. Kiedy umilkły oklaski, pianista rozejrzał się dokoła i stwierdził, że na estradzie brakuje instrumentu. Wrócił więc za kulisy przeżony, pytając organizatorów:

— Cóż to, zapomnieliście o fortepianie?

— Ależ proszę pana. Nikt z nas o niczym nie zapomnieli. Lecz kiedy tydzień temu grała u nas skrzypaczka, to przywiozła instrument ze sobą...

Mimo iż od tego zdarzenia upłynęło już trochę czasu, to myślę, że jeszcze znalazłoby się niejedno miejsce, gdzie rzeczyć mogłaby się powtórzyć. Pewnie dlatego Marek i Vacek wożą fortepiany z sobą. Jak to jest możliwe? Ano jest. Mniej więcej dwa lata temu coraz lepiej prosperująca japońska firma Yamaha wypożyczyła artystom instrumenty i od tej pory jeżdżą z nimi na koncerty. Do tego potrzebna jest oczywiście odpowiednia ekipa, która, razem ze stroicielem z Poznania i z muzykami grającymi w sekcji rytmicznej, liczy 12 osób. Takie małe przedsiębiorstwo na kółkach.

Napisałam, że Marek i Vacek grają dzisiaj podobnie, ale i zupełnie inaczej. Reprezentują z pewnością podobny styl, wirtuozerie. Lecz nagłośnione fortepiany Yamaha mają ostrzejszy, jakby metaliczny ton, a pianistom towarzyszą muzycy grający na syntezatorach, instrumentach perkusyjnych, gitarach i kontrabasie. I oczywiście Lucjan Kydryński, bez którego udziału trudno wyobrazić sobie

koncert Marka i Vacka. Cała ta oprawa, połączona ze skomplikowanym systemem wzmacniaczy robi z pewnością duże wrażenie na młodszych słuchaczach. Nie wiadomo, jak to nowoczesne podejście do muzyki podoba się melomanom uczęszczającym do filharmonii Ale i jedni, i drudzy tłumnie uczestniczą w koncertach.

A przy dwóch fortepianach dwaj jakby coraz młodszy, muzycy wykonują parafrazy klasycznych utworów. Są one potraktowane albo w sposób bardzo surowy, albo też ubarwione licznymi ozdobnikami instrumentalnymi lub wręcz obrazowymi, gdy perkusista uprawia prawdziwą żonglerkę przy pomocy talerzy. W Mazurku Chopina pobrzmie-

że wcale od niego nie odeszli Zdarza im się, szczególnie na Zachodzie, grać na prywatnych pórecitalach u bankierów i mężów stanu. Są wtedy sami, czasem towarzyszy im metronom.

Drugim, równie ważnym nurtem działalności obydwu panów stała się kompozycja. Inwencji im na tym polu nie brakuje. Wacław Kisielewski jest autorem takich hitów, jak „Melodia dla Zuzi” (to jego pięcioletnia latorośl) czy „Odłot”. Marek Tomaszewski napisał m.in. „Lato w parku” i „Consolation”, wykorzystane w telewizyjnych serialach zachodniemieckich. Płyty, które nagrywają ostatnio muzycy, składają się mniej więcej w połowie z transkrypcji, a w połowie z kompozycji



Marek & Vacek

- zabawa na dwa fortepiany

Irena Filus

wają dzwoneczki, świstawki, a nawet trąbki. Stwarza to nastrój pogodnej wiejskiej zabawy. Taki sposób przedstawiania Chopina może się spotkać z oburzeniem purystów, choć na dobrą sprawę mamy do czynienia ze swobodną fantazją, zupełnie nową muzyką. Przykładów podobnej działalności znaleźć możemy mnóstwo u poważnych kompozytorów. Chociażby F. Liszt był twórcą kilkuset parafraz, m.in. pieśni F. Schuberta, fragmentów oper R. Wagnera, W. A. Mozarta i G. Verdiego. Kto wie, może to jest właśnie droga do zdobycia sobie przyszłych słuchaczy, bardziej otwartych na różne rodzaje muzyki.

Marek i Vacek odkrywają piękno nie tylko w klasyce. Proste ludowe krakowiaki przedstawiają w rytmie samby i robią z niego przebój, jak się patrzy. Najważniejsze, że jest to wszystko wyważone, przemyślane, a w ostatecznym kształcie nadające się i do słuchania, i do zabawy. A tych, którzy byli zwolennikami dawnego salonowego stylu gry muzyków, można tylko pocieszyć,

własnych, choć zdarzają się także longplaye monotematyczne: „Trümerer”, gdzie znalazły się wyłącznie utwory romantyczne, czy inny z walcami Straussa, nagrany w Wiedniu z tamtejszą orkiestrą Philharoper.

Marek i Vacek to duet uniwersalny. Potrafią grać klasykę jak klasycy, jazz jak jazzmani, muzykę rozrywkową jak wytrawni bywalcy broadwayowskich sal. Może to jest przyczyną ich niesłabnącej popularności od lat dwudziestu. I braku konkurencji na świecie. A wielka popularność prowadzi czasem do małych śmiesznych sytuacji. W 1978 roku przebywał w Leningradzie i Moskwie. Po jednym z koncertów wchodził na scenę człowiek i pyta Tomaszewskiego: — Który z was jest Marek, a który Vacek?

— Ja jestem Marek.

— A jak się tamten nazywa?

PS. Wszystkie informacje, zamieszczone w powyższym artykule, pochodzą od Marka Tomaszewskiego. Vacek Kisielewski nie lubi polskich dziennikarzy.

Iwony Nabożnej

sen o Seulu



— Piłka ręczna to inaczej: popularny „szczyptorniak”. A w „szczyptorniaku”, podobnie jak w tenisa stołowego, potrafi grać każdy — zwracam się do Iwony Nabożnej, brązowej medalistki mistrzostw świata juniorów '83 w piłce ręcznej.

— To złudzenie. Jak do wszystkiego, trzeba i tutaj posiadać specjalny talent. Piłka ręczna tylko pozornie jest grą łatwą. Wymaga ona dużych zdolności ruchowych, do których dochodzą określone sprawności techniczne i taktyczne, i to po prostu trzeba „zapaść”.

— Lublin, szkoła, mistrzostwa świata w Seulu, team „All Stars”. Jak to wszystko daje się godzić?

— Na szczęście należy do ludzi, którzy stosunkowo szybko potrafią się przystosować. Przynajmniej tak mi się wydaje. Na pewno te mistrzostwa i mój dotychczasowy codzienny tryb życia to było zderzenie dwóch światów, ale sądzę, że poradziłam sobie z tym stosunkowo bezboleśnie.

— Jak trafiłaś do reprezentacji Polski? Też bezboleśnie?

— Pierwszy raz powołano mnie do kadry

narodowej, kiedy skończyłam szkołę podstawową. Przeszłam wtedy do zespołu trenera Grudzińskiego, do MKS Lublin. Było to cztery lata temu. Pierwszy mój obóz to zorganizowanie wytrzymałościowe kadry w Giżycku. Przeżyłam tam szok. Początkowo nie mogłam pogodzić się z ogromnym obciążeniem fizycznym, jakie na mnie spadło. Nie rozumiałam, dlaczego ja się tak męczę, za jakie grzechy. Oczywiście wszystkie dało się wytrzymać. Jednak tamtej porcji treningu nigdy nie zapomnę.

— Jak było w Seulu?

— Jeśli chodzi o samo miasto, to w chwili, gdy podchodziliśmy nad nim do lądowania, wydawało mi się koszmarnie. Później jednak szybko zmieniłam zdanie. To miasto kolorów i swobodnego uroku. Już na lotnisku powitała nas spora grupa dziennikarzy i kibiców. Stworzono nam doskonałe warunki do treningu i odpoczynku. Podejrzewam, że organizatorzy potraktowali te mistrzostwa jako swego rodzaju małą wprawkę przed nadchodzącą olimpiadą. Dlatego były one wzorowo przeprowadzone i zorganizowane. Wszystkie ekipy traktowane z ogromną serdecznością. Poza tym samo miasto ma w sobie dużo egzotyki i dzięki temu jest jeszcze bardziej fascynujące. Różni się ogromnie od miast w Europie... Do turnieju przystąpiłyśmy bardzo skoncentrowa-

ne. Już po zawodach trener kadry, pan Jerzy Noszczyk, powiedział, iż w związku liczonego najwyższe na 5-6 lokacie. Tymczasem wywalczyłam brązowy medal. Piłkarki radzieckie stały właściwie poza konkurencją. Natomiast nasz przegrany mecz z Koreą należy traktować w kategorii: „gospodarzom nawet ściany pomagają”, chociaż Koreanki były prawdziwą rewelacją tej imprezy. Najbardziej ucieszyło nas zwycięstwo nad Francuzkami, z którymi dotąd miałyśmy zawsze kłopoty. Słowem, była to impreza i sportowo, i organizacyjnie niezwykle udana.

— Jak to było z zespołem „All Stars”? Można przecież powiedzieć, że zostałaś powołana do najlepszej „siódemki” na świecie w swojej kategorii.

— Przeżyłam to jako ogromne zaskoczenie. Domyślałam się, że fachowcy i dziennikarze prowadzą ranking na najlepszą drużynę, nigdy jednak nie myślałam, że będzie w niej miejsce i dla mnie. Po ceremonii rozdania medali, która odbywała się w głównej hali, drużyny z finałowej czwórki zostały zaproszone na oficjalny bankiet kończący mistrzostwa. Siedziałam z koleżankami na tym bankiecie, byłyśmy już na zupełnym luzie, wysłuchałyśmy przemówień przedstawicieli międzynarodowej federacji i komitetu organizacyjnego, a potem zaczęto wyczytywać nazwiska najlepszych zawodniczek na poszczególnych pozycjach. Najpierw wywołano zawodniczkę radziecką, potem koreańską bramkarke i wtedy, nagle, usłyszałam swoje nazwisko. To był szok. Musiałam więc wystąpić na środek. Wszystkie wyczytane znalazłyśmy się nagle w blasku jupiterów i kamer. Wręczono nam wtedy pamiątkowe statuetki.

— Czy czujesz się już sławną i czy po mistrzostwach świata coś naprawdę zmieniło się w twoim życiu?

— Powiem bez żadnej kokieterii. Nie czuję się sławną, chociaż niektóre z moich koleżanek usiłują mi to przypisywać. Chcę pozostać normalną dziewczyną, jak to było przed mistrzostwami, i tak całą sprawę traktuję. Nie oznacza to jednak, że nie cieszę się moim sukcesem. Z pewnością dają mi dużo radości.

— Co chciałabyś jeszcze osiągnąć w sporcie?

— Na pewno chciałabym się dostać do pierwszej reprezentacji Polski. Sądzę, że prawdziwe skromności, że jest to marzenie realne. Gdyby nasza reprezentacja zdołała

zakwalifikować się na olimpiadę, bardzo chciałabym wziąć w niej udział. Natomiast moim pragnieniem najbliższym jest chęć wywalczenia z MKS Lublin i ligi.

— Twoja dyscyplina należy do najbardziej „urazowych”. Czy myślisz czasami o perspektywie utraczonego zdrowia po zakończonej karierze?

— Kiedy oglądamy po meczu własne słabe, napomykamy nieraz żartobliwie o wódku inwalidzkim na starość. Są to jednak tylko żarty. Nie, nie myślę jeszcze o tym i uważam, że nie powinno być tak źle. Trudno przecież mieć to stale na uwadze, podejmując sportową walkę. Przecież w niej bardzo wiele zależy od ambicji i poświęceń.

— Masz wiele obowiązków: nauka w liceum, sport, normalne życie. Kto ci naprawdę pomaga?

— Dużo jest takich osób. Niezwykle cenię sobie pomoc w każdej sytuacji mojego trenera klubowego, pana Henryka Grudzińskiego. W domu z kolei moją opołą jest mama, która wspiera mnie zawsze duchowo. Poza tym koleżanki z drużyny, z którymi, myślę, że tworzymy zgraną grupę. Słowem, nie czuję się samotna w obliczu własnych problemów. Zawsze mogę na kogoś liczyć.

— He zarabiasz na sporcie uczenniczo-zawodniczką?

— W tej chwili trudno mówić o zarobkach. Gram dla przyjemności i satysfakcji, jaką daje gra. Mistrzostwa świata przyniosły mi jednak konkretny zysk, który ogromnie mnie ucieszył. Było to uzyskanie klasy mistrzowskiej, co zważnia z obowiązku zdawania egzaminów wstępnych na AWF. A o tym właśnie, w perspektywie matury i ukończenia liceum, marzyłam.

— Chodzi o styczeń, że masz zamiar wyemigrować z Lublina. Czy nie można tutaj wywalczyć i ligi i tu pograć dalej?

— Gdyby jeszcze był w Lublinie AWF... Nie ukrywam, że zamierzam realizować dalej swoje ambicje życiowe i podjąć studia we Wrocławiu, gdzie zresztą się urodziłam. Wierzę jednak, że do Lublina powrócę.

— Jakże masz pomysły na życie?

— Chcę się poświęcić sportowi. Najpierw jako zawodniczka, a potem trenerka. Sport to największa moja życiowa pasja.

Rozmawiał:

Wiesław Horabik

ZETKNELI się ze sobą po raz pierwszy chyba około roku 1926; oczywiście na planie filmowym kręconego właśnie westernu. Dzieliła ich wówczas — jak by się mogło wydawać — przepaść nie do przebycia: John Ford był już słynnym reżyserem, twórcą pięćdziesięciu westernów, w tym — nakręconego w 1924 r. „Ognistego konia”, który przyniósł mu światowy rozgłos; a John Wayne (późniejszy: Wayne, bo teraz nazywał się jeszcze Marion Robert Morrison) pracował w ekipie zdjęciowej jako... rekwizytor.

Wysoki, masywnie zbudowany, niespełna dwudziestoletni młodzieniec, zwrócił na siebie uwagę dwanaście lat starszego, również wysokiego i muskularnego, reżysera. Ale Ford nie zachwyił się nagłe młodym człowiekiem jako „gwiazdą” przyszłych swoich filmów. Ten pełen temperamentu zawodniak, w którego żyłach płynęła gorąca irlandzka krew, postanowił tylko... zmierzyć się na pięści ze swym rekwizyтором i przekonać się, „kto silniejszy”. Pojedynek odbył się na miejscu, przed milcząca kamerą, w świetle filmowych jupiterów, we wnętrzu kregu, który utworzyli widzowie — operatorzy, aktorzy, statyści, kaskaderzy i maszyniści. Z tego pojedynku, ku swemu zdziwieniu, Ford wyszedł pokonany. Myślano, że wyrzuci teraz „hardego” pracownika, który nie dał się „grzechnościowo” pokonać przez reżysera, mającego skłonność do tyranizowania zespołu. Ale on, podniósłszy się z ziemi i otarłszy krew z warg, podszedł do zwycięzcy, mówiąc: „Chodźmy na obiad. Jestem cholernie głodny, ja stawiam!” I wtedy właśnie narodziła się między tymi dwoma ludźmi przyjaźń, która miała trwać prawie przez pół wieku...

Ford i Wayne startowali z różnych pozycji, różnił ich wiek, ale też wiele łączyło. Obydwaj mieli krew irlandzką, obaj pochodzili z szanowanych, choć niebogatych, rodzin, obaj nie znosili miasta, z którego uciekali na prerie lub w góry, aby żyć tam wśród prostych, zwykłych, ludzi. I wreszcie obaj kochali film.

John Ford, a w istocie — Sean Aloisius O'Fearn, urodził się w 1895 r. w Cape Elizabeth w stanie Maine. Od dzieciństwa czuł się Amerykaninem, chociaż był zarazem wychowywany w gorącym patriotyzmie dla ojczyzny swoich rodziców, walczącej o niezależność Irlandii. W dzieciństwie spędził nawet kilka lat w Irlandii i ów pobyt nie pozostał bez echa w jego twórczości; w swych filmach potrafił niejednokrotnie w ostry i odważny sposób podnosić sprawy ucisku politycznego i niesprawiedliwości społecznej. Z około 140 filmów nakręconych przez Johna Forda ponad połowa to westerny (notabene jakże często są to filmy o gorzkim, oskarżycielskim wobec białych zdobywców Ameryki — wydzwiku), ale — poza licznymi filmami historycznymi, melodramatami czy filmami wojennymi — znajdują się w jego dorobku też takie dzieła jak „Grona gniewu”, nakręcone według słynnej książki Steinbecka, czy „Droga tytoniowa” według Caldwell.

Początkowo chciał zostać marynarzem. Próbował dostać się do Akademii Marynarki Wojennej w Annapolis, ale nie przyjęto go. Wobec tego rozpoczął studia na Uniwersytecie Maine. Wkrótce jednak znużył się nimi i znalazł pracę jako przedstawiciel prasowy działu reklamy wielkiej fabryki obuwia. Wreszcie, śladem swego starszego brata, Francis, powędrował do Hollywood. Francis O'Fearn, przybrałszy pseudonim Francis Ford, już od pewnego czasu pracował w wytwórni Universal jako reżyser. Gdy więc Sean Aloisius w 1913 r. przybył do stolicy kina, mógł liczyć na kądo spania i jakąś pracę na planie filmowym. Robił wszystko: był, gdy zaszła potrzeba, aktorem, statystą, rekwizyтором (jak ponad dziesięć lat potem Marion Robert Morrison — późniejszy John Wayne), a w końcu także — asystentem reżysera, swego brata, Francis. W 1917 r., w marcu, nakręcił pierwszy samodzielny film: krótki, dwuszpulkowy, „obrazek” z Dzikiego Zachodu, zatytułowany „Tornado”. Podpisał go „rodzinnym” pseudonimem — Jack Ford (jeszcze nie — John Ford; dopiero później „doszlifował” ostatecznie swoje „filmowe” imię i nazwisko). Do grudnia 1917 r. nakręcił dziewięć krótkich filmów, głównie o tematyce „indiańsko-kowbojskiej”.

Tematyka młodzieńczych filmów Johna Forda wynikała nie tylko z rynkowego zapotrzebowania na ten właśnie „westernowy” gatunek twórczości. Złożyły się na to jeszcze co najmniej dwie ważne przyczyny. Po pierwsze — Ford był człowiekiem prowincji, kochał przyrodę, szanował ludzi pozostających w bliskich z nią związkach, tęsknił do czasów minionych; po drugie — wyniósł z dzieciństwa pamięć rodzinnych opowieści o niedawnych wojnach białych z Indianami i o ostatnich podbojach przez pionierów Far Westu. Dla wielu późniejszych twórców westernów podbój Dzikiego Zachodu był taką samą legendą jak ta, którą tworzyli oni sami na ekranie. Dla Johna Forda był on niemal rzeczywistością; wszak tylko na pięć lat przed jego urodzeniem miała miejsce ostatnia wielka masakra Indian pod Wounded Knee. O tym fakcie musiało się w domu rodzinnym O'Fearnów opowiadać jeszcze bardzo długo. To, co wkrótce miało już przejść do historii, było dla małego Seana Aloisiusa wciąż jeszcze niemal dnem dzisiejszym. Nic dziwnego, że jego ostatni wielki film to, nakręcona w 1964 r., „Jesiń Cheyennów”, opowieść o okrutnej zagładzie całego plemienia Indian, zagładzie dokonanej przez „białych braci”...

Z podobnych co Ford, choć znacznie jeszcze głębiej zakorzenionych tradycji rodzinnych wyrastał John Wayne. Ten błękitnooki, powolny w ruchach i pozornie flegmatyczny olbrzym, liczący 1,90 m wzrostu i sto kilogramów wagi, noszący dziwaczne, w zestawieniu ze swą posturą i osobowością, kombinezony, a nawet raczej „dziewczęce” imię: Marion,

był praprawnukiem irlandzkich i szkockich osadników przybyłych przed wiekami do Ameryki Północnej. Nosił w sobie geny pionierów wędrujących na Zachód, walczących krwawo z Indianami; w jego żyłach płynęła krew żołnierzy Wojny Secesyjnej.

Urodził się w 1907 r., w stanie Iowa. Gdy miał sześć lat, jego ojciec kupił niewielką farmę położoną na skraju pustyni Mojave, w osadzie Winterset. Osiedlono się na tym spalonym słońcem pustkowi ze względu na odpowiednie warunki zdrowotne, które należało zapewnić małemu, słabowitemu Marion. Wówczas to chłopiec nauczył się jeździć konno, rzucił lassem, odczytywał ślady. Po kilku latach, gdy całkowicie doszedł do zdrowia, rodzice przenieśli się do Kalifornii i zamieszkali w Glendale, jednym z przedmieść Los Angeles. Wówczas Glendale było jeszcze „nie skażone” cywilizacją. Do tego stopnia, że właśnie tutaj kręcono plenery kowbojskich filmów.

W owych czasach Marion Robert Morrison nie interesował się filmem, lecz... boksem. Dał się poz-

Ford & Wayne

- legenda westernu

Mirosław Derecki



John Wayne i John Ford na planie filmowym

Repr. Arkadiusz Karoń

nać jako obiecujący pięściarz, przy tym — zawodniak, chętnie uczestniczący w bójkach. Wówczas właśnie zyskał swój przydomek „Duke”, który przylgnął do niego na całe życie. Wstąpiwszy na Uniwersytet Południowej Kalifornii, „Duke” szybko trafił do uniwersyteckiej drużyny footballowej (właściwie: rugby amerykańskiego), do czego predestynowały go szczególnie wzrost, waga, siła i chęć walki, zdobywając sławę znakomitego zawodnika. Wkrótce stanął na czele swojej drużyny.

Wtedy to zetknął się z „gwiazdą” filmu kowbojskiego, cieszącym się nieprawdopodobną wręcz sławą na całym świecie, Tomem Mixem, który zachęcał go do związania się z filmem i obiecał protekcję. Młody sportowiec „połknął haczyk” kina. Ale gdy, rzuciwszy studia i drużynę sportową, stawiał się u Toma Mixa, ten udał, że... ledwie go poznaje! Ta niehonorowa odprawa, z jaką się spotkał ze strony ekranowego „człowieka honoru”, nie zniechęciła młodego Morrisona do kariery filmowej. Zaczął — kręcić się — jak wielu mu podobnych koło wytwórni filmowych... Pełnił pomocnicze funkcje. I wówczas właśnie doszło do jego pamiętnej bójki z Johnem Fordem.

Ford zaprzyjaźnił się z Morrisonem, ale nie zaangażował go do żadnego ze swych filmów. Miało to się stać dopiero trzynaście lat później, gdy John Ford (po takim samym okresie milczenia jako realizator westernów, uznany już za przebrzmiałego „klatyka” tego gatunku) zaproponował w 1939 r. swemu przyjacielowi rolę Ringo Kida w „Dyliżansie”. Tak, to było wiele lat później. Tymczasem zaś Marion Robert Morrison zaczął grywać rólkę i rolę, lecz nie kowbojów, tylko — podobnych jak on — sportowców. W 1927 r., mając lat dwadzieścia, zadebiutował w filmie „The drop kick”, w 1929 r. zagrał sportowca-futbolistę w filmach „Words and music” oraz „Salute”. W 1930 r. otrzymał pierwszą znaczącą rolę młodego trapera-zwiadowcy w filmie Raoula Walsha „Big Trail” („Droga olbrzymów”). W „westmańskim” stroju z kozłej skóry, obszytym frędzlami, w którym występował w owym filmie, wydaje się wręcz „smukły” i chłopcę w porównaniu z owym późniejszym flegmatycznym olbrzymem o twarzy spalonej słońcem, dobrodusznym uśmiechu i ręce błyskawicznie sięgającej po rewolwer (jak ów niezapomniany szeryf z nakręconego w 1959 r. przez Howarda Hawksa — „Rio Bravo”). Ale jest już w nim „coś”, jakaś wyraźna zapowiedź przyszłych rewolwerowców, szeryfów, oficerów kawalerii z czasów walk z Indianami lub z lat wojny Północy z Południem. To już zresztą nie jest Marion Robert Morrison, bokser, futbolista i aktor-zawodiak o dziewczęcym imieniu. Reżyser Raoul Walsh wymyślił odpowiedni dla kreowanej przez niego roli pseudonim. Od tej pory będzie występował jako John Wayne.

Obaj z Fordem nie znosili miasta i obaj najchętniej żyli i pracowali na prerii, bywając — wzorem prawdziwych „westmanów” — tylko gośćmi we własnym domu. Różnił się jednak podejściem do kobiet, do swych małżonek i w ogóle do spraw rodzinnych. John Ford ożenił się jeszcze w 1920 r. z Mary France McBryde Wingate Smith; miał z nią

córkę i syna, a jego życie przebiegało raczej dość zgodnie i spokojnie, jak życie na przykład orzeźwiającego stale w długich rejsach Johna Waynea miał trzy żony, wiele przyjaciółek (wśród nich także Marlenę Dietrich) i przygodnych romanсів a od końca życia związał się z 34-letnią młodszą od niego osobistą sekretarką, Pat Stacy. Miał siedmiu „legalnych” dzieci.

„Duke” żył swoim własnym życiem. Kręcąc westerny, często więcej czasu w ciągu roku spędzał na prerii, w namiotach czy barakach położonych daleko od siedzib ludzkich, otoczony statystami-Indianami, kaskaderami, ujeżdżaczami koni oraz podobnymi jak on, aktorami — „rewolwerowcami” — niż w rodzinnym domu. W początkowym okresie kariery Wayne kręcił rocznie do 16 westernów. Sam już chyba tracił świadomość, gdzie kończy się jego „normalne” życie, a gdzie zaczyna filmowa fikcja.

Obliczono, że w ciągu 40 lat John Wayne wypijał przeciętnie litr alkoholu dziennie, licząc w to whisky, meksykańską tequilę oraz piwo. Wypalał dziennie 50 papierosów. Rano wstawał, jakby nigdy nie,

i był gotów do wielogodzinnych zdjęć. John Ford też potrafił pić długo i na umór, ale Wayne był w tym względem niepowtarzalnym fenomenem!

A jednak każda odporność ma swój kres. W 1959 r., roku „Rio Bravo” Hawksa oraz „The horse soldiers” Forda z Johnem Wayne w rolach głównych, stwierdzono w jego płucu guz rakowy.

Przez wszystkie te następne lata, gdy widzowie na całym świecie podziwiali „niezwycięzonego” Johna Wayne w „Człowieku, który zabił Liberty Valance’a” (1961 r.), „Jak zdobyto Dziką Zachód” (także 1961 r.), „Donovan's reef” (1963 r.) — filmach Johna Forda; w „Złocie Alaski” (1960 r.) i „Synach Katie Elder” (1965 r.) — Henry Hathaway; w „El Dorado” (1967 r.) i „Rio Lobo” (1970 r.) — Howarda Hawksa, i tylu, tylu innych filmach... przez wszystkie te lata „Duke”, albo „Big John” — jak go również nazywano — walczył z chorobą, którą sam nazwał z bohaterским humorem... „Big C”.

Ze swym przyjacielem, Johnem Fordem, nakręcili wspólnie co najmniej 14 znaczących filmów; niektórzy z nich to filmy wybitne. Nie tylko jako westerny, ale jako dzieła sztuki filmowej w ogóle. Jeżeli operować samymi liczbami, to biorąc pod uwagę fakt, że Ford nakręcił w życiu około 140 filmów, a Wayne — około 250, jest tych „wspólnych” dzieł nie tak znowu wiele. Ale przecież nie w suchych liczbach wyraża się wartość i miara artystycznych dokonań. Rzecz w tym, że Ford i Wayne zdolni byli wprowadzić sztukę westernu na tak nieosiągalne, jak dotąd, wyżyny.

Jednym z ostatnich westernów nakręconych przez Johna Wayne były „Rio Lobo” Hawksa (1970 r.) i „Kowboje” Marka Rydella (1972 r.). Ostatnim filmem, w którym zagrał, był nakręcony w 1976 r. przez Dona Siegala — „Ostatni z wielkich”. Zmarł Wayne w trzy lata później, po licznych operacjach, po dwudziestu latach walki z chorobą, 11 czerwca 1979 r.

John Ford dawno już wtedy nie żył. Umarł w roku 1973. W jego ostatnim wielkim i przejmującym dziele filmowym, „Jesiń Cheyennów” (1964 r.), zabrakło — co za szkoda! — miejsca dla postaci, w którą mógłby się wcielić John Wayne. Główne role grali Richard Widmark i James Stewart. A jednak... był tam Wayne! Jedną z postaci w „Jesieni Cheyennów”, podporucznika Scotta, grał jego syn, Patrick Wayne.

I jeszcze jedno (choć ma to nikły związek z tematem: Ford — Wayne) — znalazła się w „Jesieni Cheyennów” m.in. postać Polaka, starszego sierżanta Stanisława Wichowskiego (grał go, także zapewne Polak z pochodzenia — Mike Mazurki). Polak — wiecznego wędrowca po drogach tego świata, tak jak nieustrudzonymi wędrowcami zarabiali przez czas szlaków Far Westu byli Ford i Wayne.

M.D.

Pisząc powyższy artykuł, korzystałem m.in. z książki Philippe Haudiqueta — „John Ford”, Paris 1964, z serii „Cinema d'aujourd'hui”, oraz obserwacji esetu Philloa Labro — „John Wayne le géant du Grand West” („Paris Match” z sierpnia 1965 r.).

Znowu deszcz chudy niebieski kapuśniak
skwarek słoneczka na dnie gdzieś się plawi
Kółko się z osik wytoczyło luźnia
drewnianym koniom bok otarty krwawi.

Mówią psia pora majętni i gołce
stroszą pierzyny tarmoszą zagłócki
Zubra bizona kupują za dolce
na czarny kwadrans chowając złotówki.

Rodzicom

Nieutulone z szyb spływają ślody
placzą osiki Lota konkubiny
Od kół po dyszel schabeciale wozy
w rozmiętkłym gumnie żłobią koleiny...

SYN

1. IZBA

Tu skrzydło sadyz kruk domowy szyber
posposia białą związuje zapaskę
Kozą rozdepta pierdzi gęstym dymem
diabeł się krztusi za świętym obrazkiem.

Jednaka wina podwójnego lóżka
Adama z Ewą pierwotne sprzęgło
Tylko żarówka kwitnąca ostróżka
namaszcza światłem to co się uległo.

Pajki muchy zawitały w kumy
koza upuszcza żużla ciepłe bobki
Wrzeszczy jak gdyby zjadł wszystkie rozumy
z sadyz i światła — syn chłopca i chłopki...

2. XIENI

Brat wacha kwiaty od strony korzeni
siostra pod darnią pasie bydło z gliny
W klasztornej celi ciała — Matka: xieni
leż godzinami napelnia godziny.

Czasem ją krowa serdecznie polize
cielę figlarnie w wyschłe łono trąci
To biegnie z żalu na grób leżąc krzyżem
rada by znaleźć w nim dla siebie kącik.

Gdy się wieczorem dowlecze do izby
krepę sukienki na ramiączku zwiesi —
Trumnę zwiada w białej desce przyzby
na której siada obok Jaśka, Cesi...

3. SEN

Spiewają kanie deszczową piosenkę
trzmieł otrzepuje futro podpalane
W koronie lipy — Najświętsza Panienka
do snu kołysze Dziecko wykłapane.

Zarzą się błędne ognie w koniczynie
lelek kozodój dziś spać pójdzie na czoło
Wikła się woda w zielonej wiklinie
ciężarne ryby ronią iletę na dno.

I nagle cisza w której w sen zapadam
klejąc obrazy wśród zwojów mózgowych
— jest rajskim jabłkiem... które grzesznie zjadam
na kształt i obraz jabłek adamowych...

5. WINA

Ząb za ząb kosa i oko za oko
biblijnym rytym bił się Abel z Kainem
Wzajemnie słów się obrzucali łajnem
z pobudek niskich choć mierząc wysoko.

Ksiądz proboszcz w mroczonej dziupli słuchający
w uszach radary w oczach ma świderki —
Z ust wyjmowane grzechy głośno liczy
i do czyszcówce posyła przepierki.

Starym co patrzą na księżą oborę
nie szczędzi przestróg oszczędza pokuty
„Ego absolve”... wkłada zżute buty
gdy odpoczęły w chłodzie nogi chore...

6. CHLEB

Wonny kwiat chleba i gałązka soli
jak miły sercu i pożywny bukiet —
Trzeba go wachać długo i powoli
na jednym ogniu dwie pieczenie upiec.

Codzienny widok kwitnącego chleba
soli sypanej na spieczone rany —
Jak młodzianekowie przez ogień do nieba
tak rośnie w świętość bochen przypalany.

Bo jest w codziennym chlebie sacrum wznieście
i jest attycka godność w szczypcie soli
Ze kromkę do ust jak hostię podniosłem
mam się nią sycić — długo i powoli...

7. POEZJA

Moja poezja rośnie na kamieniu
kwiatem dziewanny wiosną kwitnie żółto
Czarcim sporyszem w kosmatym jęczmieniu
w zegarze lasu — gnieździ się kukulka.

Moja poezja mruga okiem kwarcu
krzemienne skrzydła rozkłada jak motyl
Na miękkim wosku czerwcowego skwaru
jak na marmurze uwiecznia swe strofy.

Moja poezja jest cieniem kamienia
ale w tym cieniu trwa świat żywy zielny
Moja poezja jest echem milczenia
w milczeniu — słowi się wiersz: nieśmiertelny...?
1985

WIELKA Brytania, Londyn, rok 1984. Człowiek dzisiejszy... „Janiszewski”... „Klaudiusz”... go nie zaliśmy — autobiografia cesarza dotarła wreszcie do potomnych! Spiker BBC rozpoczął każdy serwis następującą informacją: „Nasz wielki rodak odnalazł nowe źródło do historii starożytnej — pamiętniki Klaudiusza”. Były to jednak typowe „kaczkę dziennikarskie”. Chodziło bowiem o znakomitą powieść historyczną Roberta Gravesa pt. „Ja, Klaudiusz” (pierwsze wydanie polskie w 1938 roku).

Czytelnik nie bardzo orientowany w problematyce historycznej, antyku w szczególności, niejednokrotnie mógł brać książkę Gravesa za autentyczną autobiografię Klaudiusza. Przecież już na pierwszych stronach dowiadywał się, że narrator (sam cesarz) miał zamiar ukończoną historię swojego życia zachować, dzięki specjalnym zabiegom technicznymi, dla potomnych: „Pewnego dnia potomni odnajdą go [rękopis] i przeczytają. Jeżeli domysł mój jest słuszny, nastąpi to za jakieś tysiąc dziewięćset lat”. Z prostej kalkulacji wynikało (Klaudiusz mógł napisać swoją biografię na początku lat 50-tych n.e.), że owe 1900 lat niebawem miało minąć.

Wszystko to oczywiście było bardzo zręczną mistyfikacją, choć zastanawiano się, czy Graves, znakomity powieściopisarz, poeta, krytyk literacki, historyk wreszcie, nie odnalazł gdzieś fragmentów pamiętników Klaudiusza i na ich to podstawie stworzył własne dzieło. Nie bardziej błędnego. Co prawda historyk rzymski, Gajusz Swetoniusz Trankwiliusz, żyjący na przełomie I i II wieku n.e., przekazał informację, że tenże cesarz „napisał autobiografię »O swoim życiu« w ośmiu tomach”. Niestety nie zachowała się ona do naszych czasów.

Skąd zatem Graves czerpał wiedzę o Klaudiuszu, skąd tak doskonale znał epokę, życie cesarzy, ich troski i problemy, intrygi dworskie, niuanse polityki? Otóż gwoździem prawdy można rzec, iż pisarz angielski nie jest jedynym autorem książki. Najlepszym byłoby określenie, że praca powstała niejako pod jego redakcją. Tyle że współautorzy odeszli z tego świata... na dziewiętnaście stuleci przed powstaniem książki.

Wspomniany Swetoniusz w „Żywotach cesarów” jedną z biografii poświęcił cesarzowi Klaudiuszowi. Współczesny Swetoniuszowi, inny wybitny historyk rzymski, Korneliusz Tacyt, napisał „Roczniki — od śmierci boskiego Augusta” i choć najbardziej fascynowały go postaci Tyberiusza i Nerona, siłą rzeczy musiał także zająć się okresem panowania Klaudiusza. Kolejnym historykiem, który przekazał informacje na temat Klaudiusza, był autor „Historii rzymskiej”, Kasjusz Dion. Ci oto pisarze antyczni zasługują na miano współautorów powieści Gravesa; ich wkład widoczny jest na każdej niemal stronie książki. To głównie dzięki nim możemy dziś poznawać i fascynować się rozsądną polityką Augusta i Tyberiusza, ekscytować i oburzać jednocześnie wybrykami Kaliguli, rozczulać bądź popadać w złość nad sylwetką Klaudiusza. Do czego zatem sprowadziła się rola Gravesa? Czy był on tylko zręcznym kompilatorem, plagiatorem wreszcie?

Przekazy historyków antycznych nie są miejscami zbyt komunikatywne, pozostawiają wiele niedomówień, niejasności, częściej koncentrują się na skutkach niż na przyczynach pewnych procesów czy wydarzeń. Bywa tak, że eksponowane fakty nie są adekwatne do ich rzeczywistego znaczenia historycznego (o wiele bardziej pomógłby Swetoniusz historykom, pisząc dlaczego np. Klaudiusz nadawał obywatelstwo rzymskie mieszkańcom prowincji, niż opowiadając, że pijany bądź drzemający cesarz obrzucany był pestkami daktyli).

Praca współczesnych historyków zajmujących się starożytnością polega zatem głównie na wiązaniu skutków i przyczyn, na wyjaśnianiu niejasności,

• KSIĄŻKI • KSIĄŻKI • KSIĄŻKI • KSIĄŻKI • KSIĄŻKI • KSIĄŻKI • KSIĄŻKI • KSIĄŻKI • KSIĄŻKI • KSIĄŻKI • KSIĄŻKI • KSIĄŻKI • KSIĄŻKI • KSIĄŻKI • KSIĄŻKI •

Dziennik z Prania

KONSTANTY nie żyje, Natalia nie żyje, żyje Kira. Jedyne już źródło bezpośredniej informacji o Galczyńskim. Z dawnych członków poetyckiej grupy „Kwadryga” nie żyje już nikt.

Kira Galczyńska przyjęła obowiązek składania zeznań o życiu, perypetiach i zawsze chętnie przez czytającą publiczność przyjmowanych — nie bez smaczku na atrakcyjną anegdotę — przygodach swojego ojca. Słusznie tu mówić o obowiązku, o poczuciu potrzeby informowania, nie zaś o wpisywaniu się w legendę poety, bo córka Galczyńskiego, w dodatku wymieniona w tytu jego wierszach, już i tak ma wystarczający powód do zajmowania miejsca w uwadze czytających. Ostatnio — po „Konstanty syn Konstantego” — opublikowała

„Czas swe wzory układa». Dziennik z Prania”. Nie jest to książka wyłącznie o Galczyńskim. Jest o zakładaniu muzeum jego imienia w leśniczówce Pranie.

(A propos. Nazwa leśniczówki, wbrew narzucającemu się słownemu podobieństwu, nie ma nic wspólnego z białą, bielizną i mydłem. Kiedy nad jeziorem wznoszą się opary mgły, miejscowi mówią, że jezioro „pra”. Stąd Pranie jako pochodne od tych „dymiących” jezior).

Podtytuł: dziennik. Zapiski prawie codzienne od 26 VI 1980 do 13 XII 1981. A więc samochody dowożące materiały budowlane zmieniły powierzchnię podwórza w brunatną bryję, pękła rura kanalizacyjna w pokoju biurowym i po ścianach leje się woda, rudoczerwony pies otrzymał imię Urban, w lesie stoi „sosna Galczyńskiego”, nazwana tak przez Putramenta, przyjaźny i odjazdy Czeszki, Bratnego, Rogozińskiego (dlaczego w tekście jest „Rohoziański?”), Feddeckiego, Dzie-

wanowskiego, Krenza, wycieczek, turystów. I główne wyróżnienie na VIII Premio Europeo w Trento dla Galczyńskiego za zbiór wierszy dla dzieci „Na kołysce kogut złoty” (w 27 lat po śmierci autora). Oczywiście — od razu zastrzeżenie: czy można dopuścić do takiego „materiił pomieszania”? Na jednym arkuszu te klepsko odrastające kępki traw i topografia prańskich wędrowek Galczyńskiego? Popsuła się pogoda, złe połączenie autobusowe z Warszawą i artykuł Sandaury „O sytuacji pisarza polskiego pochodzenia żydowskiego w XX w.”? Zastrzeżenie mieć można, ale nie nieustępliwe. Bo w tym codziennym montowaniu użytku z miejsca pobytu Galczyńskiego w trzech ostatnich jesieniach jego życia — nieustanne dygresje w stronę wydarzeń literackich. I nawet nie jest pewne, co tu jest dygresją, a co tekstem zasadniczym.

Ale weźmy ten artykuł Sandaury. Ni stąd ni zowąd w panu profesoro-

obudził się dyskretny (ta nienaturalność ma tylko zjednać aprobatę czytelnika) filosemita i demaskatorski antygalczyński. Mimo jego niedysiejszego artykułu pod wymownym i niedwuznacznym tytułem: „Kochałem Galczyńskiego”. Czy pamięta go szanowny, a tak pamiętający wszystko innym autor? Otóż w artykule „O sytuacji pisarza...” Sandauer wspomina Galczyńskiego list „Do przyjaciół z »Prosto z Mostu«” (Galczyńska przytacza niedokładnie; wyraz „list” do tytułu nie wszedł), zamieszczony w tym piśmie, a zawierający rzekomo akcenty antyżydowskie. Nie bardzo kto może sprawdzić, bo ten list po wojnie nigdzie, nawet w pięciotomowym „czytelnikowskim” wydaniu, przedrukowany nie był, więc Sandauer może swobodnie „naświetlać”. Otóż 150 egzemplarzy „Erystyki” Szopenhauera temu, kto wykaże, że kilka uszczypliwości pod adresem Grydzewskiego, Peipera i tych, którzy „modlą się w czapkach”, jest wyrazem krwiożerczego antysemityzmu, a nie reakcją usprawiedliwioną realiami ówczesnej sytuacji literackiej. Przecież w „Wiadomościach Literackich” Galczyńskiego nie chcieli drukować, do „Zwrotnicy” ze względu na obcość wyznawanej tam poetyki sam by nie zapukał. A czy — z dru-

ON KLAUDIUSZ

Dariusz Słapek

wydobywaniu problemów wagi największej. Po części taką właśnie pracę wykonał Graves. Gdyby jego dzieło opatrzyć przypisami, dołączyć bibliografię, to kto wie, czy autor nie zostałby... doktorem nauk humanistycznych. Jeśli jednak chodzi o pewne wydarzenia, opinie, próby interpretacji w wykonaniu Gravesa, to nie dałoby się ich potwierdzić i poprzeć żadnymi źródłami, nawet po przewertowaniu największych bibliotek świata. Po prostu część rozważań Gravesa jest fikcją literacką. Autor wkracza ze swoją fantazją w miejsca, wydarzenia, o których źródła milczą. Stwarza przez to ogniwa łączące fakty znane z przekazów antycznych, buduje pomosty, dzięki którym fakty te logicznie się zająbiają.

Wiemy np. doskonale ze źródeł, że dość zagadkowo zginęli potencjalni spadkobiercy Augusta: Marcellus (mąż córki Augusta, Julii), Agryppa (kolejny mąż Julii) i jego synowie Gajusz i Lucjusz. Przyczyn ich śmierci, tych prawdziwych, możemy się jedynie domyślać. Graves stawia sprawę zdecydowanie i jednoznacznie. Dla niego jest jasne i oczywiste (historyk musiałby mieć tutaj niezbitę dowody), że stało się to za sprawą Liwii. Mało tego, że wskazuje sprawcę, dokonuje nawet rekonstrukcji tych zdarzeń, okoliczności, w jakich zaszły. Nie można stwierdzić, że autor nie ma racji. Jego konstrukcje są niesłychanie logiczne, zdroworoządkowe, a co najważniejsze — pozostają w zgodzie z szeroko pojętymi realiami epoki, jej klimatem. Klasycznym przykładem może tu też być postać Postumusa, najmłodszego syna Agryppy i Julii. Jego śmierć, znana oczywiście ze źródeł, daje pisarzowi asumpt do stworzenia romantycznej historii o zdradzonym, oszukany przez kobietę bohaterze, który samotnie walczy o sprawiedliwość.

Ulubioną i najczęściej stosowaną przez Gravesa metodą, mającą służyć wyjaśnieniu wielu niejasności, budowaniu bardziej lub mniej prawdopodobnych intryg, jest stworzenie wśród postaci historycznych całej sieci przyjaźni, animozji, romanсів, intymnych związków. Pewne postaci tego pałacowego dramatu zostały mocno wyeksponowane. Dotyczy to oczywiście żony Augusta, Liwii. Odgrywa ona rolę jakby motoru sprawczego wszystkich



Klaudiusz, rzeźba antyczna
Repr. Arkadiusz Karoń

wydarzeń. Nie August, a właśnie Liwia jest centralnym ośrodkiem, z którego wychodzą dyspozycje i polecenia, i do którego wpływają relacje z ich realizacją. Źródła niejednokrotnie wskazują, że ta niesłychanie ambitna kobieta posiadała pewien wpływ zarówno na Augusta, jak i na Tyberiusza. Rola, którą powierzył jej Graves, przerasta jednak z pewnością faktyczny zakres możliwości żony cesarza. Pisarze starożytni delikatnie sugerowali oddziaływanie Liwii na męża jedynie w niektórych sytuacjach. Graves na tej sugestii oparł główny wątek swoich rozważań. Gdyby tego nie uczynił, nigdy nie powstałaby tak fascynująca powieść...

Sama postać Klaudiusza schodzi często w relacji Gravesa na dalszy plan. Dotyczy to szczególnie pierwszego tomu powieści, gdzie przyszły cesarz pojawia się stosunkowo rzadko i to raczej jako bierny obserwator zachodzących wydarzeń. Generalnym zresztą założeniem Gravesa bynajmniej nie było ukazanie postaci Klaudiusza. „Pamiętnik” cesarza jest tylko pretekstem do przedstawienia szerszego tła wydarzeń, metod walki politycznej, mechanizmów władzy.

Dla Gravesa przekazy autorów antycznych stanowią zasadniczy szkielet jego opowieści, są jakby rozerwaną siatką, którą pisarz zręcznie składa i wiąże. Różni się on jednak od historyków starożytnych emocjonalnym podejściem do postaci Klaudiusza, generalną oceną postawy i działalności cesarza. Cała historiografia epoki cesarstwa pozostawała pod silnym wpływem ideologii stanu senatorskiego. Właśnie w tej grupie, wśród tzw. nobilitas, ogniskowała się republikańska opozycja wobec pryncypatu. Dla Tacyty np. dzieje dynastii julijsko-klaudyjskiej były ciągłą walką tyrańskości władzy jednostki z reprezentującą tradycje republikańskie senatem. Z tego punktu widzenia dzielono cesarzy na złych i dobrych. Z dynastii julijsko-klaudyjskiej jedynie August doczekał się pozytywnej oceny. Natomiast Klaudiuszowi nie wystawiono dobrej cenzurki. Dla Swetoniusza Klaudiusz był *hebetatus* (głupawy), bądź *hominis portentum* (istotą niezupełną).

Graves, czyniąc z Klaudiusza głównego obserwatora i narratora opisywanych wydarzeń, stworzył innego, własnego bohatera. Jest to człowiek roztropny, inteligentny i wykształcony, ukrywający jednak swe przymioty przed drwiącym z jego fizycznych ułomności otoczeniem. Żyje w świecie książek i bibliotek, z dala od pałacowych intryg, dzięki czemu udaje mu się przetrwać panowanie Tyberiusza i krwawe rządy Kaliguli. Koncepcja Gravesa zrywa z niekorzystnym obrazem Klaudiusza, utrwalonym w świadomości wykształconych Europejczyków. Korzeniami swymi tkwi ona w opiniach poważnych historyków współczesnych, którzy usiłowali w sposób bardziej obiektywny spojrzeć na tę interesującą postać.

Wydaje się jednak, że Graves popada z jednej skrajności w drugą, od sądów negatywnych przechodzi niemal do apoteozy. Prawda zaś, jak to zwykle bywa, leży chyba pośrodku. Współczesna historiografia nie daje jednoznacznej oceny Klaudiusza. Zazwyczaj przy tego typu rozważaniach oddzielnie mówi się o Klaudiuszu-władcy i Klaudiuszu-człowieku. Pierwszy oceniany jest niezwykle pozytywnie. Imperium rzymskie pod jego rządami i rozważnymi rządami kwitło i rozwijało się. Opinie historyków nie są jednak zgodne, jeśli chodzi o osobowość Klaudiusza. Kim był: igraszką w rękach swych żon i wyzwoleńców, syntezą błazna z profesorem, wielkim snobem, dziwakiem, geniuszem, przebiegłym politykiem, doskonałym aktorem? Doprawdy, każda z tych opinii podeprzeć można wieloma argumentami, każdą obalić dziełkami innych dowodów. Jeśli rzeczywiście Klaudiusz był ukrywającym swe przymioty geniuszem, to postać jego najcieplej scharakteryzuje wiersz z „Ifigenii” Enniusza: „Nikt z astrologów nie patrzy, co jest pod nogami, lecz bada przestworza nieba”.

● K SIAŻKI ● KSIAŻKI ● KSIAŻKI ● KSIAŻKI ● KSIAŻKI

niej strony — przyjaźń z Tuwimem dla Sandauera nie nie znaczy?

Więc Kira Galczyńska słusznie dyskredytuje okolicznościowe (czytaj: koniunkturalne) ataki na Galczyńskiego, m. in. wykorzystujące fakt przyznania Nobla Miłoszowi dla rewanżu na Galczyńskim za „Poemat dla zdrajcy”. Dodajmy, że jakiś rok temu sam noblista w radiu Wolna Europa nawieszał psów, ile się dało, na Galczyńskim, nie zważając, że mówi o niezującym i że on, laureat, jako dziedzie wartości humanistycznych powinien przynajmniej uwzględnić łacińskie „de mortuis nihil nisi bene”.

A więc od tej autorki mamy jeszcze jedną książkę o m. in. Galczyńskim. Trzeba przyznać, że musiała tu omijać nasuwające się możliwości karamboli. Bo cóż. Ująć tekst od strony dykteryjek, anegdota, ukazać wielkiego poetę *en pantoufles* to w najlepszym razie sporządzić zbiór plotek. Wprawdzie wiarygodnych i poczytnych jak wszystko, co dotyczy tej kiedyś niezwykle popularnej postaci, ale waga takiego tekstu może okazać się bardzo lekko-pół-średnia. Drugie niebezpieczeństwo to pokusa w stronę apologii, nawet usprawiedliwiona, bo waga tej poezji jest z ciężkich ciężka, ale takie ujęcie nie może

przypaść komuś z rodziny. A szkiele krytyczno-literacki? To przy wykorzystaniu okoliczności rodzinnych wejście w nie swoje emplot. Galczyńska to wszystko wymyśla tak fortunnie, że jej książkę czyta się z dużym zainteresowaniem, z poczuciem bliskiego sąsiedztwa spraw opisywanych i postaci poety, który swoją osobą i twórczością tak wyakcentował topografię tego punktu na mapie kraju.

Zygmunt Mikulski

PS. Niezależnie od tego trzeba zwrócić uwagę na (całe szczęście, że drobna) niedokładność. Na str. 141 Galczyńska pisze, że jej ojciec drukował w „Spolem”. Pismo było rzeczywiście wydawane przez Związek Spółdzielni Spożywców R. P. „Spolem”, ale miało tytuł „Spółnota”. W dostępnych mi numerach znalazłem wiersze: „Podanie”, „Prawda o Głupkowicie”, „Spójrz na mapę!”, „Na Zmartwychwstanie Pańskie”, „Dzieci na Wielkanoc”, „1920—1938”, „Nowoczesny stercza”, „Nasza Lina Zygryda”, „Historia walk o niepodległość Polski w obrazach” i „Dobra Nowina”. Z wyjątkiem „Dzieci na Wielkanoc” nie były one drukowane później, nie trafiły nawet do wydania „Dzieci” w „Czytelniku” z r. 1937. Warto dodać, że w tym piśmie publikował również lewicowy poeta Edward Szymański, z którym Galczyński utrzymywał dość bliskie stosunki towarzyskie.

Kira Galczyńska: „Czas swe wzory układa”. Dziennik z Prania. „Czytelnik”, 1934, str. 265, cena 130 zł.

Konstanty Hldefons Galczyński

PRAWDA O GŁUPKOWICIE

Tak: Państwo Adamostwo Stożek mieszkają, wie pan, koło pralni — nigdy nie jedzą ryby nożem, czyli są bardzo kulturalni;

w pobliżu Stożków państwo Bruttke mają swój domek, ci bezdzietni, nos wycierają tylko w chustkę, czyli że są inteligentni;

zasię w salonie państwa Kotlet mieszka dziennikarz znakomity: ma chustkę, teczkę i binokle, czyli należy do elity.

A w tym Głupkowicie są na domiar cztery sklepiki kolonialne: w buleczkach gwoździe, w chałwie słoma i zdzierstwo wprost fenomenalne;

tylko, że kredyt, kawał znany — (euch! batem, batem głupców chłostać!)

biorą „na książki” jak barany, a inkasuje wilcza postać...

Pewnego razu u Kotletów do spółdzielczego skręcam wątku i walę prosto z mostu, że tu coś jest na prawdę nie w porządku,

że te sklepiki, brud i kredyt, że jednak nowy świat się budzi że trzeba znaleźć coś, co z biedy wyzwoli wszystkich biednych ludzi.

Sam Bruttke tutaj krzyknął: — Racja! Bardzo to pan przedstawił celnie! Więc ufny w siły wołam: — Bracia, załóżmy także my spółdzielnię!

— Co? I tu bomba. Przerazenie, a potem cisza. Śnieżek prószył... I ubawilem się szalenie, bo nagle wszystkim osłe uszy

rosnąć poczęły w tempie bystrym (się nad osłami, Boże, pożał!) ogromne takie, zamazyste, od morza do drugiego morza...

A ten dziennikarz (z binoklami) zaraz napisał w świętym gniewie list do redakcji „Swojski kramik” że jestem kaneiarz i bolszewik.

(Wiersz wydrukowany tylko w „Spółocie”, 5 II 1939).

„Anglik zabiera ze sobą swój kraj wszędzie tam, dokąd się udaje. W chwili, gdy stawia stopę na obcej ziemi, promieniuje angielskością, grając w krykieta na pustyni, sącąc herbatę w dżungli, jeżdżąc rybę i frytki w Hiszpanii”.

(M. Benkers)

OD dobrych już kilku lat, z uporem godnym tak enigmatycznej sprawy, param się tropieniem „angielskiego ducha”. Źródłami inspiracji w tym względzie były — z jednej strony — naturalne wymogi mojej profesji angielskiego filologa, z drugiej zaś — w pełni podzielany pogląd, który wyraził niegdyś znakomity dziennikarz holenderski Peter Brusse, pisząc: „Wszystkie kraje posiadają własnych ekscentryków, ale nigdy nie wydają się oni tak interesujący i do tego stopnia ekscentryczni, jak ekscentrycy angielscy”. Ekscentryczność zaś to ważna składowa narodowego ducha.

Duch, jak to duch, ulotny jest i oporny poznaniu. Nie tylko mnie wymyka się od dawna. Ostatnio poczyniłem jednak istotny postęp na drodze do jego uchwycenia. Stało się to za sprawą pewnej broszurki przysłanej mi przez znajomego z Londynu, w której wszystkich chętnych wzywa się pod sztandary brygadiera Younga, jeśli tylko mogą od zaraz wyłożyć przepisowe pięćdziesiąt funtów.

Purytanie palą, zabijają i gwałcą

Wiesław Horabik

Brygadiera Peter Young ma bowiem prywatną armię. Liczy ona tysiąc pięćset mężczyzn, kobiet i dzieci i walczy za Króla i Ojczyznę; ojczyzna jest siedemnastowieczna Anglia, królem zaś Karol I. Towarzystwo Lakowej Pieczęci brygadiera Younga odbywa regularnie historyczne bitwy w historycznych kostiumach na historycznych pobożowskich, choć o ile w historii Karol I z reguły przegrywał, o tyle Lakowa Pieczęć prawie zawsze czyni go zwycięzcą. Brygadiera Young mówi: „Czasami pozwalamy także, aby wróg nas pokonał. W przeciwnym razie zabawa stałaby się nudna. Oponent musi trwać w przekonaniu, że wciąż jeszcze coś znaczy”.

Lakowa Pieczęć była tajnym towarzystwem rojalistów z czasów wojny domowej (1640—60), którego nazwa pochodzi od małej pieczęci spinającej wstęgę Orderu Podwiązki i podobnej raczej do ołowianego krawka niż autentycznym salami. Brygadiera Young, który mieni się Kapitanem Generalnym dwudziestowiecznej armii Towarzystwa, nosi długie bakobrody i twarzowa kozia bródka a la Karol I. Jego współczesne wychowanie wojskowe powstrzymuje go jednak przed tak daleko idącym naśladowaniem króla, aby hodować jeszcze pukle długich, poskręcanych loków. W czasie autentycznej kariery militarnej Young był ranny pod Dunkierką, w randze porucznika brał udział w lądowaniu w Dieppe, a także, pod koniec wojny, zmagal się z Japończykami w Birmie. Od 1953 do 1956 roku dowodził Legionem Arabskim, karnej ekspedycji kolonialnej, i opisał swoje przeżycia na pustyni w książce zatytułowanej „Dowódca Be-ruinów”. Przeszedł następnie do Królewskiej Akademii Wojskowej w Sandhurst, jako wykładowca w stopniu pułkownika-brygadiera. Studiował także historię w Oksfordzie, specjalizując się w wieku siedemnastym.

„Mam dobrą armię — twierdzi brygadiera. — Sprawa polega na doborze właściwych ludzi we właściwym miejscu. Wiem, jak ich wybierać. Zaprzedałem mi własne serce i duszę. Niektórzy z nich są gotowi walczyć nawet o tydzień. Gdybym im tylko pozwolił. Należy ich uspokajać jak zwyciężone konie. A kiedy dostaną już wolną rękę...”

Według Younga, pięć głównych bitew i kilka potyczek to maksimum dozwolonych działań. Tradycja tej armii zabrania także walki zimą, ale okres ten nie przemija bynajmniej w bezczynności. Trzeba ponownie uformować powyginane helmy, podostrzyć szpady, polatać mundurami i podzelać buty. Specjalnym dniem Towarzystwa jest 30 stycznia, rocznica ściecia Karola. W dniu tym król „osobliście” przejeżdża konno obok swej własnej statuy, umieszczonej przy Whitehall w Londynie, dokładnie w miejscu, gdzie utracił głowę. Każdy rojalista, któremu nie uda się tam przybyć tego wielkiego dnia, musi przynajmniej uczcić rocznicę w pubie lub karczmie, której nazwa posiada królewskie konotacje, jak choćby „Królewski Dąb”.

„Angielski geniusz — powiada Young — polega na tym, że wracając późno z lunchu, tak czy inaczej zawsze udaje nam się wykonać zamierzona praca. Jesteśmy leniuchami, ale jedną z naszych zalet jest to, że grzebiąc się i guzdrając, wciąż udaje nam się dostać to, czego chcemy. Dobrym tego przykładem jest wojna domowa. Walki dotyczyły poważnych spraw, ale historycy tego okresu o bitwach, które widzieli i opisali, opowiadają nam jak o meczach krykieta. Wynik, według nich, był najczęściej remisowy, a cały przebieg zmagania cechowała irytująca powolność owych test-meczów bez końca. Była to wojna amatorów, w której purytanie byli nieco lepszy od rojalistów we wprowadzeniu pewnego porządku do ogólnego chaosu tamtych wydarzeń. Ale my musimy odtworzyć całą prawdę o tej wojnie. To nie była zabawa. Moja armia jest niezwykle zdyscyplinowana. Po trzystu latach znów udało mi się zebrać rojalistów do kupy. Purytanie się nie liczą, część z nich musiała być nawet inkorporowana do Lakowej Pieczęci”.

Nie może pojąć, jak zatwardziały purytanin może być członkiem Towarzystwa, ale faktem jest, iż dwu spośród nich znajduje się nawet w Sztabie Generalnym. Nie ma

jednak obawy co do próby zamachu stanu. „Mamy ich stale na oku” — twierdzi brygadiera.

Oczywiście, bez purytanów Lakowa Pieczęć nie miała by z kim walczyć. To dowód, jak ważną rzeczą jest utrzymywanie dobrych stosunków z wrogami — sprawa, która z reguły umyka cywilom. Ale Kapitan Generalny cywilom nie jest. Jego imponująca kolekcja ołowianych żołnierzyków odbyła wiele bitew, zaś pomysł utworzenia prawdziwej żywej armii sięga 1967 roku, kiedy to ukazała się książka Younga o bitwie pod Edgehill. Fakt ten upamiętniono małą wystawą, która podsunęła komuś pomysł ożywienia bitwy.

W 1968 roku Young założył Towarzystwo Lakowej Pieczęci w Oksfordzie, gdzie Karol I ukrywał się w czasie wojny domowej. Brygadiera nie lubi pozostawiać spraw ich własnemu biegowi. Jego armia została zorganizowana ściśle według XVII-wiecznych reguł. Rekruci piechoty, kawalerii i artylerii formują szyki na dźwięk specjalnej trąbki. Mundury i uzbrojenie odtworzone są z dokładnością do najmniejszego detalu. Najcenniejszy zaś atrybut armii stanowią „Słodkie Usta”, zionące ogniem armata, której odtworzenie pochłonęło ponad czterysta godzin rzetelnej troski i morderczej pracy, a której nie sposób odróżnić od autentycznego z czasów wojny domowej.

Jest ona dzieckiem generała Petera Mortona, znanego kolekcjonera starej broni.

Young mówi: „Nie jestem tyranem kochającym przepisy i zakazy, ale jestem bardzo surowy wobec oddziałów, które niegodnie się zachowują, oraz wobec oficerów, którzy nie potrafią utrzymać w ryzach swoich mężczyzn i kobiet. Biorę ich wtedy na bok i mówię: »Znacze zasady, znacze więc i karę«. Zwykle nie ma żadnych



Rys. Zbigniew Cieniuch

zasad, ale każdy Anglik wie, jak ważną rzeczą umieć przegrać z honorem. Więc każdy mówi: »tak«. Przyznaje się tedy do winy, a ja zakuwam go w dyby. Nie znoszę także fanatyków i surowo zabraniam pojedynków i pijackich orgii w przeddzień potyczki. Oczywiście zawsze znajdują się ludzie, którzy chcą się pojedynkować, ale byłoby to sprzeczne z prawami tego kraju, a te musimy respektować”.

Podobnie jak trzysta lat temu, Lakowa Pieczęć i dzisiaj przyciąga uwagę wielu okolicznych mieszkańców, kiedy szykuje się do walki. I z pewnością oferuje ona barwne widowisko w swych kolorowych uniformach, które są tak kosztowne, że — jak mówi brygadiera — „najlepiej znaleźć sobie dziewczynę, która sama może ci uszyć taki mundur”. Dziewczyny mogą zresztą również się zaciągnąć albo jako „siostry miłosierdzia” (sanitariuszki), albo jako uczestniczki sielskiego misterium przed bitwą, kiedy to „wioska tkwi w radosnym nastroju, trwa ludowa zabawa, aż nagle pojawiają się purytanie. Scinają tradycyjny słup, wokół którego toczy się festyn, palą domy, zabijają mężczyzn i gwałcą ich żony”. Tak mówi biuletyn Lakowej Pieczęci i dodaje przestrożę: „Kobiety, trzymajcie dłonie na podolku”.

Ale Lakowa Pieczęć to nie do końca żart. Jej celem pozostaje wzbogacenie wiedzy o bitwach przeszłości. Niezależnie od zabawnych uwag Petera Younga, cały spektakl przedstawia bitwy, wychodząc od zachowanych przekazów historii.

Anglików zawsze fascynowały takie rzeczy. Można to stwierdzić, widząc dziesiątki opuszczonego woluminów, wypełniających półki księgarń i bibliotek, zaopatrzonych w zestawy map i diagramów, ukazujących strategię, taktykę, natarcia, kontrnatarcia i odwroty. To Peter Young, będąc w pełni świadomy obsesji swych rodaków wycywnami wojska, zrozumiał najlepiej, że teraz, kiedy brytyjski lew nie ryczy już nad całym światem, może najprędzej odnaleźć się w spokojnym leżu historii.

Prywatna armia Petera Younga wspiera datki od zainteresowanych z całych Wysp Brytyjskich, honoraria za prawo filmowania spektaklu, opłaty od turystów tłumnie ciągnących za wojskiem, oraz dary od wszelkiej maści miłośników historycznej zabawy. Towarzystwo Lakowej Pieczęci bowiem to już instytucja, a w dodatku przedsięwzięcie, którego angielskość pozostaje poza wszelką dyskusją.

Ekran i widz

Czarny bohater na ekranie

PISZĄC na łamach tygodnika „Ekran” o filmie Martina Bresta „Gliniarz z Beverly Hills” — tej doskonałej komedii sensacyjnej, idącej, także u nas, kompletami — Mirosław Winiarczyk zwraca słuszną uwagę na pewne, coraz silniejsze zaznaczające się zjawisko w dzisiejszym amerykańskim kinie: oto do głosu zostaje na ekranie dopuszczony czarny bohater, Murzyn. I to jako bohater pozytywny, w pełni dorównujący, a bywa, że i przewyższający, przymiotami swych białych partnerów. Taki właśnie jest „Gliniarz” Martina Bresta, czarnoskóry policjant-detektyw Axel Foley, przybywający z rodzinnego Detroit; gdzie pracuje w jednym z komisariatów policji, do Kalifornii, aby tam, w Beverly Hills, wytropić zabójców swego przyjaciela z lat dzieciństwa.

W nakręconym niedawno w Stanach Zjednoczonych przez Laurence Kasdana westernie „Silverado” jednym z czterech równorzędnych bohaterów pozytywnych jest właśnie Murzyn, też walczący ramieniem ze swymi białymi towarzyszami. „W Silverado” widzimy Murzyna, którego lubimy i szanujemy na równi z białymi, i to stanowi sukces twórcy filmu” — pisała niedawno stała korespondentka „Ekranu” w Los Angeles, Jola Czaderska-Hayek.

Oczywiście, postać czarnoskórego bohatera to w amerykańskim kinie nie dziwno; od westernu poprzez komedie, film muzyczny, melodramat aż po tragedię — wciąż jawi się on na ekranie w różnym kontekście i w różnym „wymiarze”. We wszystkich tych przypadkach czarnoskóry obywatel amerykański jawi się albo jako „pierwszoplanowa” ołara systemu nierówności społecznej, albo, jeżeli jest już nawet potraktowany przez scenarzystę i reżysera jako człowiek czynu i odwagi, nie przekracza na ekranie granicy „drugiego planu”. W filmach gangsterskich lub kryminalnych może wznieść się ostatecznie do poziomu groźnego, „szwarccharakteru”, stanowiącego antytezę głównego bohatera filmu; w westernie i filmie wojennym nigdy nie przekroczy stopnia starszego sierżanta. Będąc niejednokrotnie jednym z bohaterów filmu, nigdy nie zostanie dopuszczony do „statusu” bohatera-herosa!

Otóż swoiste novum, zaznaczające się ostatnio w amerykańskim kinie, polega na otwarciu przed czarnoskórym aktorem dotychczasowej nieprzekraczalnej granicy, zarówno na kartach scenariusza, jak i na planie filmowym. Detektyw Axel Foley z filmu „Gliniarz z Beverly Hills” to właśnie pełnoprawny bohater-heros, na którym „trzyma się” cały film.

Trzeba tutaj podkreślić, że kreujący postać Foleya, Eddie Murphy charakteryzuje się nie tylko wrodzonym wdziękiem i zręcznością — niezbędnymi dla tej właśnie roli — ale daje na ekranie prawdziwy koncert doskonałego aktorstwa. Potrafi błyskawicznie przejść od komizmu do głębokiego tragizmu, od liryzmu do dynamicznych scen wymagających kaskaderskiej zręczności. I taka jest zresztą postać bohatera, którego wykreował na ekranie — murzyńskiego chłopaka z biednej rodziny pracującego jako policjant, osobowości bardzo złożonej, nierównej, rozwichrzanej natury, działającej na przekór wszystkim i wszystkiemu, jeżeli sprawiedliwość ma stać się zadość. Nawet jeżeli musi się nieraz działać na przekór zbiurokratyzowanemu, „obłożonemu papierkami” wymiarowi sprawiedliwości, i to zresztą nie jest nic nowego w kinie amerykańskim: detektyw Axel Foley mścił się, w tym względzie, doskonale w kręgu samotnych rewolwerowców, szeryfów pozbawionych, na skutek intryg ludzi możnych, swej gwiazdy czy też detektywów-outsiderów w rodzaju Filipa Marlowe’a, potrafiących działać wbrew „władzy” — i często przy pomocy niedozwolonych środków — aby prawo w końcu zatriumfowało.

I jeszcze jedno: w filmie Martina Bresta czarnoskóry „gliniarz” z Beverly Hills wyraźnie góruje inwencją, inteligencją i zawodową sprawnością nad swymi białymi kolegami-policjantami (to już wręcz „rewolucja”). Co więcej, potrafi ich w prowadzonej przez siebie „grze” przeciągnąć na swoją stronę... A jak to robi — można dowiedzieć się, kupiwszy bilet do kina.

M.D.

— Jesteście państwo osobami bardzo popularnymi, ale tylko w Lublinie. To pomaga czy szkodzi?

L: — To nie pomaga.

E: — Czasem szkodzi...

— W czym szkodzi?

E: — Jesteśmy dość atrakcyjnym „materiałem” dla donosów i plotek. Nigdy nie wiadomo, kto i w co uwierzy.

— Detestuje się? Te wille, te salony...

L: — Jakże wille? Mieszkamy w spółdzielczym M-4 o powierzchni 42 metry. Nie mamy żadnych nieruchomości ani działki budowlanej. To jest łatwe do sprawdzenia. Owszem, otrzymaliśmy niedawno od prezydenta Popławskiego przydział lokalu na zakład przy Alejach PKWN, który istotnie może się podobać. Ale pracowaliśmy na to bardzo długo...

E: — Od 1960 roku — ja sam, a od 1962 roku razem z żoną.

— Wynika z tego, że firma ma już 23 lat. Ktoś o tym pamiętał w Lublinie?

E: — Nikt. Ale też nie zabiegaliśmy o to nie podpowiadaliśmy nic nikomu.

— Lublin was nie rozpieszczył...

L: — To się zgadza, ale też należy do przeszłości. Mamy godziwe warunki pracy i to się liczy.

— Czy macie może odznakę „Zasłużony dla Miasta Lublina”?

E: — Nie. Ale mamy „Zasłużonego dla Rzeczono Wielkopolskiego”...

— Co jeszcze?

E: — Medale im. Killińskiego za „Zasługi dla Rzeczono”. Tytuły „Mistrz Rzeczono Artystycznego” przyznane przez ministra Żygulskiego; odznaki „Zasłużony dla Handlu i Usług”.

— Co was najbardziej satysfakcjonuje?

L i E: — Tytuły Ministerstwa Kultury i Sztuki. W branży fryzjerskiej ma je pięć osób w Polsce. To jest nobilitacja w rzemiośle.

— Nie wspominać o sukcesach międzynarodowych?

L: — Wyjazdy na konkursy, festiwale i mistrzostwa międzynarodowe były poprzedzone stopniowym przebijaniem się w konkurencji krajowej. Poważniejsze konkursy w Lublinie rozpoczęły się w 1974 roku. W Polsce nieco wcześniej. Były przyjmowane początkowo jako jakieś fanaberie i dziwactwa. Ośmieszane czasami przez prasę, telewizję. Wiele w przełamaniu tej sytuacji pomógł powrót do Polski mistrza Antoine'a (Antoniego), Cierplikowskiego, króla i twórcy fryzjerstwa artystycznego. Nieco później również z Paryża przybył Janusz Szymański uczeń Antoine'a, który zajął się organizowaniem szkoleń i pokazów pod kątem konkursowo-festiwalowym na poziomie już światowym. Przelomowe były tu mistrzostwa Polski w 1976 roku (zdobyłam tam, notabene, tytuł mistrzowski), po których postanowiliśmy pokazać się na arenie międzynarodowej. Na początek w konkursach państw demokracji ludowej; najpierw w Budapeszcie, potem — w Sofii. Byliśmy tam zresztą również jurorami. Były także pokazy i festiwale w Berlinie, Moskwie i Pradze oraz nasze, krajowe, w międzynarodowej obsadzie. Okazało się, że wśród krajów socjalistycznych nie mamy poważniejszej konkurencji. Rozpoczęliśmy zatem starania o pokazanie się w najważniejszych zawodach światowych. W 1981 roku były to mistrzostwa świata w Wiedniu, a od 1983 roku — w Cannes. W Wiedniu zajęłam miejsce w pierwszej dziesiątce. W Cannes nasza ekipa startowała w konkurencji Pucharu Europy, zdobywając go. Ja zdobyłam złoty medal, a Edward — srebrny. Rok później poszliśmy za banque i startowali w Pucharze Świata, zdobywając go (indywidualnie otrzymałam medal złoty). W tym roku, w konkurencji 31 reprezentacji narodowych zdobyłam medal srebrny. Najlepsi okazali się Amerykanie. Tak wygląda ta międzynarodowa kariera polskiego fryzjerstwa artystycznego...

— W której wy macie także swój pokazy udział...

E: — Bardziej żona, niż ja...

L: — On jest skromny. Niepotrzebnie zresztą. W czasie, kiedy odbywają się te wszystkie zawody, imprezy, festiwale, zakład musi pracować normalnie. Pan sobie wyobraża, co by było gdybyśmy zamknęli interes na dwa tygodnie i wywiesili kartkę: „Zamknięte z powodu mistrzostw świata”. To nie raz w przypadku piłkarzy, ale nie — kadry fryzjerskiej. Choć mówiąc prawdę, piłkarzom daleko do poziomu, jaki my reprezentujemy w swojej branży. Nie jest to żadna złośliwość, ale niekiedy trzeba rzecz sprowadzić do paradoksu, żeby

ja lepiej zobaczyć. To co robimy jako kadra i indywidualnie każdy jest członkiem jest naprawdę wycy-nem na wysokim światowym poziomie.

E: — Podnosi się natomiast larum, gdy mistrzy-ni świata chce pracować w innych warunkach niż 19,4 metra w suterenie bez jakiegokolwiek zaple-cza, z ubikacją w podwórzu... Kiedy już władze miasta chciały nam ulżyć w orasie codziennej la-kiś dziennikarz napisał żebyśmy sobie zbudowali pawilon na Czechowie i pozbyli się rzekomego na-wisu inflacyjnego. Fragment ten nosił wszelkie cechy znieśławienia i doradzano mi abym po prostu sprawę skierował do sądu. Machnąłem jednak ręką i zlekceważyłem tę pisaninę. Ciekawe, czy ten sam redaktor doradziłby Bońkowi zbudowanie nowego stadionu na Widzewie, gdyby się okazało, że po powrocie z Włoch, źle mu się kopie na starych śmieciach?

HAIR

Rozmowa z Leonardą i Edwardem Łaniewskimi

— Tęgo akurat nie wiem. Wiem natomiast, że uchodźcie za fachowców „czeszczych” także niezły szmak...

E: — Centralne władze rzemiosła prowadzą do-kładne wyliczenia. Ile zarabiają poszczególne bran-że. Fryzjerstwo nie stoi tam na czołowych pozy-tych. Mity o fantastycznych zarobkach są bzdura. To nie fryzjerzy się budują i zmieniają co roku samochody na nowsze modele. Artysci - fryzjerzy nie są bogaci.

L: — Nikt by nie uwierzył, ale nawet reprezen-tować Polskę jeździmy za własne pieniądze...

— Przecież nie musicie.

L: — Jest coś takiego, jak poczucie własnej war-tości oraz poczucie sensu i satysfakcji z pracy. To drugie wymaga dziś szczególnego podkreślenia, bo niech mi pan pokaże, ilu ludzi ma rzeczywista sa-tysfakcję z własnej pracy. Przecież niemal wszyscy narzekają, biadoczą, o coś mają pretensje. Wła-snie udowadnianie że i w kryzysie można w Pol-sce wykonywać prace na światowym poziomie, daje mi to poczucie wartości sensu i satysfakcji.

— Nie ma co ukrywać, że jest to praca dobrze wynagradzana.

E: — I znowu o tym samym... Przedstawie pew-ne wyliczenie z utrzymania zakładu. Lokal — 6300 zł, światło — 5000 zł, gaz — 4000 zł, ZUS — 23 000 zł, podatek — 24 000 zł, podatek od wynagrodzeń — 7000 zł, pobyty pracowników — 40 000 zł, środki czystości — 5000 zł, materiały i sprzęt — 6000 zł, sprzątanie — 4000. Ile to daje? 144 300 zł. Nie ma w tym środków kosmetycznych i sprzętu niedostępnego za złotówki, choćby płynów do trwałości, lakierów i odżywek, żeli. Nie liczę ben-zyny, której wypalam miesięcznie 100 litrów, i in-nych kosztów trudnych do przewidzenia, na przy-kład awarii. Na to wszystko trzeba w końcu za-robić i jeszcze pozostaje drobniak: utrzymanie ro-dziny.

L: — Żyjemy na poziomie wyższym od przecięt-nego, ale nie w luksusie. Piłkarz pierwszej ligi ma lepiej, ale on takich wyliczeń jak my nigdy by

pana publicznie nie przedstawił. A my musimy tak-że kilka razy w roku — różnym inst-turwem kon-trolnym.

— Jest przecież zielone światło dla rzemiosła. O co wam chodzi?

E: — Tak świeci, że aż oślepia...

— Ile kosztuje u was trwałość z pasemkami, strzyżeniem, czesaniem, modelowaniem?

E: — Jakie włosy?

— Powiedzmy: — długie.

E: — Dwa tysiące.

— I to jest mało?

L: — Dużo, bardzo dużo. Tylko, że cena samej usługi wynosi tu... 600 zł, a reszta to koszty ma-teriału.

— Jakiemu materiałowi?

L: — Szamponu, odżywek, płynu do trwałości, utrwalacza...

— Aż tyle?

E: — Buteleczka płynu kosztuje 2 dolary, utrwa-lacza — 3,60. Każda z nich starcza przeciętnie na dwie głowy czyli po 2,80 dolara na jedną. Nie li-cząc szamponu odżywek... Przecież ja muszę kwepić bony PeKaO SA na te materiały! Nasz lubel-ski cennik usług i tak jest o 40 procent „agordniej-szy” niż warszawski czy katowicki...

— Ale ceny wzrosły w ostatnich latach kilkakrotnie.

E: — Ceny prasy codziennej kilkunastokrotnie. I co pan na to? Tak sobie możemy gadać w kółko...

L: — Jest prawda, że na krajowych prepara-tach mogłoby to kosztować taniej (i jest w innych zakładach), ale my nie możemy sobie pozwolić na fuchy. Niestety nasze kosmetyki nie mogą się równać z francuskimi, podobnie jak samochody. Dziwne, ale nikt nie oczekiwał od polskich rajdow-ców aby wygrwali Monte Carlo na fiatach czy syrenach, a od Wszoly żeby skakał w polskich trampkach.

— No dobrze, ale co właściwie dają te zachodnie „ba-tery”?

E: — O, tu jest walek, a to gumka. Gumka jest tak skonstruowana, że nigdy nie zlamie włosa. To-rebka takich gumek — pięć USD. Tu jest grze-bień, który nie elektryzuje włosów, jest antysta-tyczny. Cena od 5 do 20 dolarów. Tu są nożyczki, które nie wyrzucają włosów i tna w określony spo-sób (od 20 do 80 USD). Po płynach włosy nie wy-padają, nie rozdzwajają się, aparat do trwałości (700 dolarów) nigdy nie przypali włosów bo jest na mikroprocesorach. Dzięki tym „bajerom” kobiety w wieku pięćdziesięciu lat nie łysieją, a takie do nas trafiają po latach czesania się u fryzjerów na prowincji, pracujących metodami z lat trzydzie-siętych.

L: — Spójrzmy na to inaczej. Włosy wymagają nie tylko czesania, ale i pielęgnacji, jak każda część organizmu. Jeżeli komuś akurat zależy na włosach, to będzie rozumiał, że koszty ich utrzymania w zdrowiu rosna tak jak koszty utrzymania w zdro-wiu całego organizmu.

— Zbliży się Sylwester. Czy moglibyście coś zapropono-wać naszym czytelnikom? Ale może już nie z Cannes, z tego wielkiego świata...

L: — To co wykonałam w Cannes, może zrobić w Lublinie. Cały czas staram się o tym pana prze-konać... Zresztą organizacja Cercle des Artes et Techniques da la Coiffure zamierza przyjąć w swe szeregach Polskę, co będzie formalnym uznaniem naszego poziomu. Mówiac o fryzurach należy do-strzec, że nie ma obecnie ścisłego podziału na fry-zuryienne i wieczorowe. Decyduje nie ułożenie włosów, a dodatki: lakiery, żele, dopinki. Modną są włosy krótkie, modelowane asymetrycznie, o-parto na trwałej, strzępione, powycinane, strozoz-ne. Ogólnie tendencja na duży luz i dowolność.

— Mówi pani o dopinkach...

L: — Mogą być wykonane z piór, elementów metalowych silnie odbijających światło, także pla-styku. Również lakiery powinny być w intensywnych kolorach, metalizujące, kładzione nierówno-miennie.

— Czyli dużo błysku na głowie. Gdzie te czasy, kiedy kobiety czarowały długimi, puszystymi fryzurami, a nie błyskotkami, blachą we włosach?

L: — Żyjemy w czasach błyskotek papendekł, nierzeczywistości. Uczesanie jest odbiciem czasu. Jego znakiem, proszę pana.

Rozmawiał:
Waldemar Piasecki
Reprodukcje — Robert Lipiński



Reduta Rozhina

WDOTYCHCZASOWYCH poczynaniach dyrektorskich Andrzeja Rozhina sprawą najciekawszą — jak wydawało mi się jeszcze do niedawna — było otwarcie, albo dokładniej mówiąc: wznowienie działalności małej sceny, zwanej „Redutą”. „Reduta”, założona jeszcze przez Machulskich, z niewielkimi przerwami istniała w Teatrze im. Osterwy od roku 1960. Ale Ignacy Gogolewski w okresie swej dyktacji przeniósł małą scenę — już nie jako „Redutę” — do Lubelskiego Domu Kultury, i stało się to przede wszystkim utrapieniem organizacji widowia. Bo do teatru, to owszem, jeszcze ludzie czasem chcą dobrowolnie pójść, ale „na teatr w LDK-u”?

Skąd więc teraz przywrócono „Redutę”. Na otwarcie przygotowano „Przy drzwiach zamkniętych” Sartre’a i „Dom mego ojca” według powieści Mariana Makarskiego. Przedsięwzięcia te, różne przecie, mają tę wspólną cechę, że nie cieszą się zainteresowaniem publiczności. Żeby nie posługiwać się „głostwami”. Widownia w „Reducie” posiada ponad 50 miejsc. Na przedstawieniu „Przy drzwiach zamkniętych” zliczyłam 23 osoby, na spektaklu „Dom mego ojca” — 19 widzów.

Reżyserem dramatu sartrowskiego jest — niewątpliwie obiecujący reżyser najmłodszego pokolenia — Jacek Zembrzusi. Dokładniej mówiąc: myślałam tak do niedawna. Do redakcji naszej nadszedł bowiem list od Jacka Zembrzusi i Grażyny Stando (scenografa), w którym to oboje twórcy twierdzą, że w rzeczy samej, choć figurują na afiszu, nie są autorami spektaklu i proszą o podanie tego do publicznej wiadomości. Na razie należy więc poprzestać na tym, do czasu, kiedy teatr zechce ujawnić właściwych realizatorów. No bo w końcu dla recenzenta żadna radość atakować, grymasić, wybrzydzać, kiedy nie wiadomo nawet do kogo to wszystko skierować.

Niebył pomyślnie zaczęła się zapowiadana przez dyrektora Rozhina współpraca młodych twórców z teatrem. Ale poczyna się chyba spełniać inna z artystycznych deklaracji, że teatr „powinien [pełnić] funkcję kulturalnego salonu miasta” (por. „Kamena” 1985, nr 12). I zdaje się, że będzie pełnił. Szkoda tylko, że rolę „salonu”, znamionującego się jedynie plotką, zawilgością i enigmatycznością zakulisowych zdarzeń.

Zostawmy na razie ton prześmiewczy. Bo dwa — nazwijmy to — przedstawienia, inaugurujące działalność „Reduty '85”, nie skłaniają raczej do śmiechu. Każą myśleć przede wszystkim o sprawie odpowiedzialności teatru przy dopuszczaniu do publicznego oglądu niektórych produkcji teatralnych i o stanie aktorstwa w tym teatrze. Na małej scenie szczególnie mizerne siły aktorskie zostały obnażone zupełnie.

Spektakl „Dom mego ojca”, przygotowany w „Reducie” przez Romana Kruczkowskiego, przypomina w jakiejś mierze przedsięwzięcie tego aktora i teatru sprzed lat kilkunastu — Studium Dramaturgii Współczesnej, powstałe w roku 1970 i działające chyba do czasu dyktacji Gogolewskiego.

Ale zacznijmy może po kolei. Oczywiście, zdecydowanie wolę, kiedy — ciągle jeszcze uczący się przeciw sztuce reżyserii — Roman Kruczkowski realizuje współczesną opowieść realistyczną czy farsą, niż np. dramat Witkacego. Powieści, według której Kruczkowski przygotował spektakl, nie znam, jako że nie ukazała się jeszcze drukiem. „Dom mego ojca” jest w ogóle debiutem i literackim, i teatralnym Mariana Makarskiego, artysty — jeśli można się tak wyrazić — z innej branży, będącego przede wszystkim architektem i malarzem, wykładowcą Politechniki Lubelskiej, zajmującego się również krytyką sztuki i publicystyką.

Chcę cokolwiek powiedzieć o powieści, trzeba w tym wypadku zaufać autorowi, który w programie teatralnym próbuje wyjaśnić, czym jest „Dom mego ojca”, i sam się zastanawia, czy to powieść, proza poetycka, czy esej. „Dwadzieścia lat pisałem tę książkę, jest to zaledwie dwieście stronnic marnego opisu przygotowanego do druku [...] Treścią mojej książki są dzieje człowieka, który tu na tej ziemi chce zbudować dom, walcząc z przeciwnościami losu. — Kiedy ma się dom, to jest skąd wyjechać i dokąd wrócić, i życie przestaje być tułaczką po drogach donikąd. [...] Ten dom ma wymowę symbolu, materializuje ludzkie dążenia, nadzieje”. I dalej jeszcze: „Marzyła mi się książka niemożliwa, oparta na syntezie słowa, na milczeniu”.

I pewnie dobrze by się stało, gdyby ten spektakl oparła właśnie „na milczeniu”. Jak to zrobić? Nie wiem. Ale taka myśl narzuca się, kiedy słucha się granej ze sceny mowy „szmerliwej-belkotliwej”. Do zestawu niedostatków tego spektaklu, i w ogóle przedstawień teatru, trzeba wpisać przede wszystkim zupełny brak czystości dykcji i większości aktorów. W tym teatrze słowa na scenie rzadko mówią swoje końcówki, bywają często zupełnie niesłyszalne. Rozróżnienia pomiędzy głoskami dźwięcznymi i bezdźwięcznymi, pomiędzy „ch” i „h”, pomiędzy „l” i „u” niezłotkotwórczym nie zdarzają się, oczywiście, nigdy. Powie ktoś, że wydziwiam i grymaszę. Nie. Chcę powiedzieć tylko tyle, że aktorzy po prostu nie umieją dobrze mówić po polsku. W ich mowieniu, co to się „przejęczyca i nie wyjęczyca” — by posłużyć się Białoszewskim — bywa, że słyszy się: „w sirotku” (w środku) albo „jeste już ekiem starym” (jestem już człowiekiem starym). Znaki przestankowe zdarzają się zupełnie dowolnie i przypadkowo, rozłamując strukturę zdań, zmieniając ich semantykę. I aż dziwne, i niezrozumiałe wydaje się to w spektaklu „Dom mego ojca”, bo aktorzy mieli tu wyjątkowo ułatwioną sytuację. Grała — jak we wspomnianym Studium Dramaturgii Współczesnej, jak w „teatrze przy stoliku” — z egzemplarzem sztuki w ręku.

W Teatrze im. Osterwy widzi się na scenie wiele spraw dziwnych, o których czasem aż pisać się wypada, bo przecież to jest w końcu zawodowy teatr. Na scenie pojawiają się i częściej, i w większej liczbie niż w ubiegłych sezonach adepci. „Grają” — nazwijmy to tak umownie — i inspicjenci, i rekwizytorzy („Okreć”, „Dom mego ojca”). Ja nie twierdzę, że niemożliwa jest droga do aktorstwa z rekwizytorni, czy zaa inspicjenckiego stolika. Oczywiście. Tylko dobrze jest, jeśli łączy się to jeszcze z czymś, co nazywa się „talentem”. I dobrze, jeżeli na tej drodze do aktorstwa pojawia się jeszcze szkoła teatralna, gdzie w końcu można się jednak czegoś nauczyć. Bo same tylko ambicje nie zdadzą się na nic, kiedy nie ma rzemiosła.

Nawet najlepszy repertuar i sprawne, ciekawe pomysły reżyserskie niewiele znaczą w teatrze, kiedy — jak mawiają czasem reżyserzy — „nie ma czym grać”.

Lidia Wójcik

Niesmaczni ludzie...

WPRZEDOSTATNI dzień listopada otwarto w siedzibie związku rzeźbiarzy w Warszawie ekspozycję prac artystów belgijskich, które dotarły do Polski w warunkach luksusowych, bo na ciężarówkach TIR z poduszką powietrzną, gwarantującą pełne zabezpieczenie dzieł przed uszkodzeniem. Komentarz ten fakt w środowisku, bo TIR-y były nasze, a z drugiej strony — krajowe biura wystaw artystycznych odmawiają pomocy w urzędzeniu pokazów rzeźbiarskich, tłumacząc się brakiem mocy transportowo-technicznych. Inna sprawa, że za wynajęcie wspomnianych „poduszek” zapłacono frankami belgijskimi, zaś księgowi resortu kultury martwią się, czy w ogóle starczy im dolarów na pokrycie kosztów transportu dzieł sztuki polskiej, zakwalifikowanych na wystawy zagraniczne. Wszystko drożeje, dewiz nie przybywa. Przyszłoroczne biennale plakatu w Warszawie, impreza o wysokiej wszak randze międzynarodowej, pochłonie trzy razy więcej środków, niż to pierwotnie zakładano. Trudno też powiedzieć, czy znajdzie się waluta na pokrycie limitów importu farb i innych materiałów, produkowanych przez znaną firmę „Talens”. Trzeba natomiast przyjąć do wiadomości, że sporo wystaw krajowych, zaplanowanych na rok 1986, nigdy nie doczeka się katalogu (brak papieru, niewydolna poligrafia).

Obrazu sytuacji dopełnia postać pana P., człowieka rosnącego, mierzącego minimum 190 cm wzrostu, który zazwyczaj paraduje po stolicy w typowym ubraniu amerykańskiego trapera, rozmiłowanego we frędzlach, guzach i sprzączkach. On jest malarzem oraz poetą — chętnie recytującym swe utwory przy dźwiękach gitary, jak na filmach z Dzikiego Zachodu. Ale na otwarciu wzmiankowanej wystawy belgijskiej pan P. wystąpił w roli koguta, znaczy się, był przebrany za tego królewskiego ptaka i czynił to, co z obowiązku winien robić każdy normalny kogut, wytypowany przez naturę do podtrzymywania gatunku. Prawda, sodomia była pozorowana, nasz bohater jedynie gwałcił się w rytynie kopulacyjnym, a żywa kura, którą dopadał, sprawiała wrażenie wcale skonfundowanej, ba, może nawet zawstyżonej tym swym udziałem w prefiguracji miłości namiennej, co zbrojonej — ale i tak sila wyrazu owych igraszek okazała się ogromna, licząc zgromadzoną publiczność śmiała się do rozpuku, była brawo, dopinguwała kochanków. Dodajmy, że w chwilach wolnych od zajęć pan P. recytował własne wiersze, łącząc indywidualną przyjemność z kagankiem edukacji literackiej wśród elitarnych kręgów stolicy.

Jakże inaczej przyjmowane są takie manifestacje w Lublinie! Jak pamiętamy, młodzi ludzie o mało nie pobili Zbigniewa Warpechowskiego, który swego czasu wystąpił w BWA z ptakiem, nie wykazując przeciw ochoły na zbliżenie ze skrzydlatą przyjaciółką. Artysta jeno pokrzykiwał z uczuciem na papuzkę, która w rezultacie szamotała się tu i tam, w granicach

wolności wyznaczonej długością sznurka zawiązanego na jej nożce. No cóż, Lublin bywał stolicą, ale krótko.

Podobnie jak krótko trwał romans Adama Nowińskiego z awangardą, która u schyłku I wojny światowej zainicjowała te procesy, jakie po dziesięcioleciach doprowadziły do redukcji, degradacji a w końcu do unicestwienia materialno-przedmiotowego charakteru sztuki na rzecz bezpośredniej aktywności artystów w materii życia i historii.

O Nowińskim pisałem już kilkakrotnie, więc przypomnę tylko, że będąc kolejno dyrektorem różnych szkół handlowych — w Janowie Lubelskim, Biłgoraju, Szczekocinach, Plocku, Wilnie — z zamiłowaniem i dobrym skutkiem uprawiał malarstwo (okresowo studiował w krakowskiej ASP), w latach 1917—1919 pasjonując się „nową sztuką”, by wkrótce stracić do niej zaufanie. Świadczą o tym m. in. listy słane przezeń do Wiktora Ziłkowskiego w Lublinie. Oto nie publikowany dotąd fragment tej korespondencji z datą 25 maja 1919 roku:

„Kochany Panie! U formistów nie byłem od 2 tygodni. O Witkiewiczu i formistach pisała Centnerszwerowa jedynie, zbyszła ich, choć tupet, odwagę uznala. [...] w ogóle smarkaczami z brodami i dużymi „ja...mi” przestaje interesować się. Niesmaczni ludzie, plugawy to naród. Dobrze, że o nich nie pisał. Najlepsze to świadectwo dla nas. [...] Panie! Ja z tym chamstwem dawno zerwałem”.

Nie od rzeczy też będzie, jeśli przytoczę kilka zdań z innego listu, wysłanego z Plocka do Lublina 6 czerwca 1928 roku, po dwuletniej nieobecności Nowińskiego nad Bystrycą:

„[...] na pewno miasto rozwinęło się wspaniale, zwłaszcza od dnia przewrotu majowego, gdy dzielny pułk lubelski szedł na pomoc rewolucjonistom (tj. pilsudczykom — przyp. aut.). Granda była, granda będzie, a artyści [...] chodzić będą bez portek, świecić dupą... chyba, że robić będą reprezentacyjne portrety Napoleona, Marszałka, Prezydentów, czy też Loli [...] Sztukę kocham bardziej niż kobiety i dlatego muszę mieć swój własny domek — oczywiście nad brzegami Morza Liguryjskiego. Chciałbym go mieć w Polsce, ale ani wojew. Remiszewski, ani Dreszer, ani Arlitewicz budować mi się w Polsce nie pozwolą... »Won, won... jebu twoju duszu w prawo i lewo... Mi pierwsza Brygada, mi V Brygada«. No dość żartów”.

Pamiętając, że ptak ptakowi nie dorówna, wszystkie wymienione fakty i opinie dedykuję uczestnikom ogólnopolskiej sesji Stowarzyszenia Historyków Sztuki, która odbyła się w Lublinie w dniach 5—7 grudnia pod hasłem „Kryzys w sztuce”.

IJK

Potrzeba krzewienia...

OBSZAR kultury świeckiej budują nie tylko kwestie filozoficzne, pedagogiczne i religioznawcze. W konstruowaniu laickiego światopoglądu bierze także udział tradycja rodzinna i społeczna oraz wysnuwana z niej świecka obyczajowość i obywatelstwo. W swojej działalności statutowej Towarzystwo Krzewienia Kultury Świeckiej tej problematyce poświęca miejsce znaczące. Praca podstawowych ogniw Towarzystwa ukierunkowana jest nie tylko na upowszechnianie, ale i inspirowanie obywatelstwa świeckiej w różnych środowiskach, ze szczególnym zwróceniem uwagi na odpowiednią oprawę uroczystości rodzinnych oraz ich wysoki walor wychowawczo-emocjonalny.

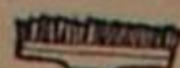
Różne formy obyczajowości i obrzędowości świeckiej mają już pewną tradycję w województwie lubelskim. O krótką ich charakterystykę poprosiliśmy sekretarza ZW TKKS w Lublinie, Józefa Poloczka. Wynika z niej, że ważne są — oprócz bardzo tradycyjnych form ślubów cywilnych — uroczystości związane z jubileuszem zawarcia związku małżeńskiego. Uczenie tego faktu jest przeżyciem także dla młodych członków rodziny, a jednocześnie wzmacnia poczucie więzi rodzinnej, tradycji i akceptacji pewnego wzorca, jaki reprezentują rodzice i dziadkowie. Sporą doświadczeń w upowszechnianiu tej formy świeckiego ceremoniału ma lubelski Urząd Stanu Cywilnego, a szczególnie jego kierownik, Henryk Chwyć, który potrafi zachęcić i przekonać jubilatów i ich rodziny do tej pięknej uroczystości.

Na Lubelszczyźnie istniały też dobre tradycje świeckiego nadawania imion noworodkom z trwałym upamiętnieniem tego faktu poprzez nadanie medalu miasta jego małym obywatelom. W popularyzowaniu tej formy obrzędowości przodował Świdnik i Kraśnik. W ostatnim czasie obniżyło się jakby zainteresowanie tą formą obrzędowości rodzinnej.

Sporo słów krytycznych kierowanych jest pod adresem przedsiębiorstw usług komunalnych, zwłaszcza za nieciekawą, ubogą w swej formie i wykonaniu obrzęd pogrzebowy. Inne województwa, na przykład łódzkie, katowickie, oferują o wiele bogatszy i na wyższym poziomie program tej smutnej ceremonii. Są wąsk opracowane — o czym wspominał sekretarz ZW TKKS — materiały, scenariusze; można z nich korzystać...

Pewne wątki świeckiej obrzędowości robotniczej, łączące się z przyjęciem do związku zawodowe. Jest nadzieja, iż w odrodzonym ruchu związkowym ten obszar O tych m.in. sprawach żywo dyskutowano podczas V Wojewódzkiego Zjazdu TKKS w Lublinie, który obradował w listopadzie 1985 r.

(dey)



Nasza Isaura

AUTOR:
MARIAN
JASKIER

13

— Człowiek? — zaśmiała się Iza. — Zbyt wysoko siebie cenisz! Dobry z ciebie megaloman!
— Iza, uważaj, bo przeholujesz!
— Wiecie co? — Halinę przestawiała już bawić ta małżeńską kłótnią. — Kiedy tak na was patrzę, odechciała mi się wszystkiego. Sami dolewacie oliwy do ognia.
— Tu już nie ma ognia, tylko same zgłiszczają! — Leon machnął ręką z desperacją. — Haruję jak ten koń, wracam do domu ledwo żywy, a potem czekam na żonę do północy, bo ona musi się wyszumieć.
— Myślisz, że ja nie myślę o domu? Nawet nie wiesz, jaki dzisiaj zrobiłam interes. Wymieniłam dziesięć tysięcy na dwadzieścia dolarów. Po pięćset za dolar! Niby źle? No, przestań trajkotać! — Iza wyciągnęła z torebki zielony banknot. — Wiedzicie, że nie bujałam!
— To twoje honorarium? — zaśmiał się Leon. — Mało bierzesz. Stanowczo za mało!
Teraz Iza się wściekla. Gdyby Leon nie chwycił jej za rękę, przeorałaby mu twarz pazurami. Szarpali się przez moment. Halina wkroczyła zdecydowanie do akcji; choć sama nieco oberwała, potrafiła ich rozdzielić.
— Przystaniecie przystaniecie na miłość boską, to nie ma najmniejszego sensu!
— Niech mnie nie obraża! On jest świnia, normalna świnia!
— Weź do ręki lustro i przyjrzyj się dobrze swojej jadaczce! Zobaczysz prawdziwą świnie. Halina, ty dzisiaj śpisz ze swoją siostrą, ja idę do twojego pokoju.
— Ja do niej pójde. Mądry musi ustąpić.
— Idź sobie, gdzie chcesz! — Leon zatrzasnął drzwi od sypialni. Ale później otworzył je na chwilę i rzucił na korytarz nocną koszulę żony.
— Popatrz, co za cham! Nawet podać nie potrafił! Ze też diabeł mnie podkusił, abym wyszła za niego.
— Musiałaś, musiałaś, bo redaktor cię rzucił!
— Ach ty sukinyńco!
Znów by doszło do rękoczynów, ale coraz bardziej wzmagała się awantura wyrwała ze snu Mirka. Chłopiec stanął na progu, przecierał palcami oczy i wyglądał tak nieszczeniście, że jego widok podzielał jak piorunochron.
Tej nocy Iza i Leon spali jednak osobno. Oboje długo nie mogli zmrzyć powiek...
„Zadzwoń do Morza! — myślała Iza. — Zemszczę się na tym wariacie!”
„Ta Wanda jest całkiem fajna. Jeśli na mnie leci, nie ma się co opierać. Nie dam się więcej kiwać!”
— Leon rozmarzył się i mocniej przycisnął głowę do jaśka.
VIII.
Rano nie odzywali się do siebie. Leon pogwizdywał sobie cicho: „Zabiłem byka, cóż to dla mnie byk”, bo wiedział dobrze, że tej melodyjki bardzo Iza nie lubi. Z kolei ona nastawiła radio na cały regulator. Wojna domowa została wypowiedziana.
„Przyjdę dzisiaj później, proszę zając się dziećmi” — skreślił kilka słów Leon i zostawił kartkę na stole w kuchni. Zrobił to przed samym wyjściem do pracy, wykorzystując moment, kiedy Iza znalazła się w toalecie. Uczynił tak celowo, bo chciał ją postawić przed faktem dokonanym.

Gdy był na schodach, spojrzął na zegarek i w tym momencie uzmysłowił sobie, że nie ma samochodu: zostawił go wczoraj przed warszawskim Wacka. Na taksówkę trudno mu było teraz rano, liczyć, musiał więc skorzystać z autobusu, a to oznaczało co najmniej półgodzinne spóźnienie do pracy.
— O tej porze do pracy!
Wacek powitał go kwaśną miną.
— Przystań się wygłupiać i nie zachowuj się jak kapitalistyczny krwiopijca. Byłem przecież bez wozu.
— To trzeba było wstać nieco wcześniej. A od kapitalistów to ty mnie nie wyzywałeś! Gdybyś pracował na państwowym już byś miał krechę.
— Ale pracuję u ciebie. Nie denerwuj mnie, proszę, bo i tak jestem dostatecznie wkurwiony.
— Tego też nie lubię!
— Wiesz, gdzie mnie możesz pocałować? Zostanę dłużej te trzy kwadransy, jeśli ci na tym zależy, pies cię drapał.
— Dobrze już dobrze, żartowałem. Nie bądź taki honorowy, a złość piękności szkodzi. Byłeś gdzieś wczoraj z Wandą? Wróciła dość późno. Pobalowaliście?
— Zwariowałeś?
— A niby co masz sobie żalować? Ona jest chętna, sam bym na nią poleciał, ale moja Maryśka dałaby mi załoty! Znasz ją!
— Wszystkie są jednakowe.
— Opięprzyła cię twoja stara?
— Raczej ja ją...
Z wili wyszła Wanda. Miała na sobie kwiecisty szlafroczek. Zobaczyła Leona i uczyniła ruch, jakby chciała się cofnąć. Udawała, że zjawila się zupełnie przypadkowo, a przecież zwabił ją głos inżyniera.
— Przepraszam, strasznie przepraszam, że ja taka nie ubrana. Myślałam, że Wacek jest sam.
— Nie nie szkodzi, nie masz się czego kłopotować. Myślałby ktoś, że jesteś prawniczką!
— Wacek, uspokój się... — Leon podbiegł, może nazbyt szybko, do Wandy i ucałował jej dłoń. Uczynił to dwukrotnie, a samą dłoń przetrzymał dłużej niż należało. (cdn.)

po drodze wrotkowiec mieli już inne zdanie. Wiele rodzin — a wymieniano i Stadników, i Jurków, Jeleniewskich, Młynarczyków — posiadających studnie, nie korzysta z nich, bo woda od dawna nie nadaje się do picia. Noszą więc ją wiadrami od sąsiadów po stromych ścieżkach.
Pan Kazimierz Łopata, zagadnięty o młyn, wspomina jego dawne zalety i pracowitość młynarza. Z rybackim zajęciem chwali dawne połowy. Za młynem było — pokazuje — boisko, a po drugiej stronie sklepiki i „pasztecarnia”, ale z jakim zaopatrzeniem? Albo taki sklep GS-u, można w nim było dawniej kupić i stalówkę, i uprzęż, atrament i wędliny.
Dawniej Wrotków słynął z... Cnotów. Licznych rodzin o tym nazwisku. Na przykład Cnota-„Żelazny” w najcieńsze nawet mrozy rąbał lód na Bystrzycy w cienkiej kápocie, jak gdyby nigdy nic. Na widok tak zahartowanego Cnoty ludziska dostawali gęsiej skórki. Albo Cnota-„Machorka”, który nie palił żadnego innego tytoniu, prócz machorki właśnie. Wreszcie Cnota-„Rogal”, który wraz ze swym koniem zginął na miejscu, „pocięty” przez pszczoły...

Pożegnanie starego Wrotkowa

Dokończenie ze str. 2—3

Nalkowskich”... Ciekawe, dlaczego tego faktu nie notuje kronika szkolna? Wszak był to jeszcze czas nauki? Może pisarka, zwiedzając rodzinne poniekąd miejsce, czyniła to incognito? Dając później we wspomnieniach pt. „Mój jelec” piękny opis nadbystrzyckich łąk, wrotkowskiej, wiejskiej ulicy i rzeki z wodą „płynącą bez przerwy w tę samą stronę”. A dom? „Wiedziałam od ojca — jak później napisze — że z okien domu widać było w dolinie rozległe łąki. Ich środkiem płynęła rzeka rodzinna, Bystrzyca, a widnokrąg zamykały dalekie lasy. [...] Za rzeką znowu wzgórze, niezbyt dalekie i zielone, w drzewach chaty Rur, Majdanu i dalej w lewo — Zembrzyce. Mijamy wielki młyn, schodzimy nisko nad rzekę, od tamtych czasów ocierającą się swą wodą wciąż o te same brzozy. [...] We Wrotkowie dom stał wysoko i ścieżka do rzeki, z której nosiło się wodę, była stroma. [...] Tuż koło toru pewno zaczynała się kolonia” — owa, niebogata dzierżawa dziadka Michała, którą po pewnym czasie sprzedał, przenosząc się do Lublina. Pensja urzędnika Towarzystwa Kredytowego Ziemińskiego z trudem wystarczała na utrzymanie rodziny. Syn Wacław — ojciec pisarki, znany geograf i krytyk społeczny — kształcił się już bez pomocy najmniejszej od rodziców. Po dziadkowym folwarczku zostały ponoć stare lipy.

Po burzy

Wrotkowskie domki dźwignęły się z wojennej biedy. Ubyło sporo mieszkańców, część wyprowadziła się w czasie okupacji, inni zginęli. W 1957 roku dzwonek rozległ się już w dwóch budynkach szkolnych przy ulicy Nalkowskich, w starym, XIX-wiecznym jeszcze, i nowym, podobnym w stylu do swojego sąsiada. Wrotkowska Szkoła Podstawowa otrzymała numer 30-ty,

a gmina Wrotków została włączona do „wielkiego” Lublina. W 1963 w starej szkółce zabłysnął nowy „Klejnot” — pierwszy na tej ulicy telewizor.
Opustoszały już oba budynki wrotkowskiej szkółki, trwa w nich remont. Będą się tu uczyć przyszli krawcy. Uczniowie ze Szkoły Podstawowej nr 30 przeprowadzili się do nowej „30-ki” na osiedlu im. Nalkowskich, która z trudem mieści 2,5 tysięczny zastęp. Na „starym” Wrotkowie jest już upatrzone miejsce pod budowę nowego obiektu szkolnego. Ciąg dalszy kroniki nastąpi.

Okruchy wspomnień

Pani Julia Gibuła połowę swojego 80-letniego życia spędziła tutaj, w ma-

łym domku, ponad dachem którego biegnie ścieżka. Wspomina do dzisiaj kwiaty, które były nieodzownym „urządzeniem” każdego ogródka. Wrotkowiec nieśli je ogromnymi bukietami do „miasta” na sprzedaż. „Dzisiaj — mówi — to świat zamknięty jest na sto kłódki”, tak się tu w jej odczuciu zmieniło. Ludzie od siebie się oddalili. Dawniej, choć śniegi zasypały Wrotków po dachy i drzewa, chodzono w święta z jasełkami, herodami i kozą. Spłwiali gdzieś one w skrzyniach i pamięci. A Bystrzyca? Pływało się po niej łódkami aż do katedry i bez obawy pilo wodę. „Teraz to leci jakaś tłusta woda” — konkluduje z niesmakiem pani Julia, ciesząc się ze swojej skrzypiącej studni z czystą jeszcze wodą. Choć co do studzien, to napotkali



Resztki murów po wodnym młynie.

Fot. Arkadiusz Karoń

Na zapytanie, kto najbardziej pamięta „stary” Wrotków, wielu jego mieszkańców wskazuje na pana Józefa Gierobę. „Tyko on powie pani najwięcej”. I rzeczywiście, stary pan Józef, odstukując „dobrą” 90-tkę, pamięta wiele. A więc jako małemu Józefowi w 3-cim oddziale wrotkowskiej szkółki witać mu wypadało — za carskich jeszcze czasów — inspektorów szkolnych. Wołał gromko od progu: „zdrowia żelazem wasze blagorodie”. Potem w swoim życiu, zawsze związanym z Wrotkowem, był jak powiada, „wszystkim na świecie” — opiekunem szkoły, kucharzem, weterynarzem, składał kości, budował i tęściem dom, gospodarzył, pośredniczył w sporach, ale nigdy nie dał się wybrać na soltysa, choć go kilkakrotnie podawano. Chodził w tatowej krakowskiej kápocie na parafialne procesje z wrotkowieciami. Patrzy dzisiaj przez okienko domu nad rzeką, jak po ulicy Romera pędzą samochody...

Marta Denys

W artykule korzystano z materiałów Pracowni Dokumentacji Naukowo-Historycznej Oddziału PKZ w Lublinie oraz kroniki udostępnionej przez dyrekcję Szkoły Podstawowej nr 30.

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopciowski (z-ca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bocian, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Lidia Wólcik (Redaktor techniczny) — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie prawo skrótoń. W sprawach literackich przyjmujemy interesantów kierownik działu w piątek w godz. 14—18.
Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie ul. Unieka 4.
Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa-Książka-Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 6, tel. 358-30.
Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowska 2/1.
Telefony: sekretariat, redaktor naczelny, z-ca redaktora naczelnego 355-93, sekretarz redakcji 318-93, dział publicystyki i literacki 375-32.
Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-050 Lublin skrytka pocztowa 231, nolecione i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Dla miłośników muzyki pop!

Wśród osób, które odpowiedzą prawidłowo na poniższe pytania i załączą kupon ze str. 2 (do 15 stycznia 1986 r.), rozlosujemy 10 longplayów i 10 singli z najnowszymi nagraniami muzyki rozrywkowej.

1) Formacja kierowana przez tragicznie zmarłego Iana Curtisa była bohaterem sensacyjnego albumu „Unknown Pleasures”. Po śmierci lidera grupa przybrała inny kształt i nazwę. W tym wcieleniu wdarła się na listy przebojów, gdzie największym powodzeniem cieszył się utwór wydany na singlu „Tonpressu”. Jak brzmi nazwa zespołu i tytuł jego przeboju?

2) Jan Borysewicz przed powstaniem Lady Pank był gitarzystą dwóch znanych i cenionych formacji. Jakich?

3) Christopher Hamill, zanim został okrzyknięty gwiazdą rocka, ukończył szkołę dla fryzjerów. Sławę zdobył w 1982 roku, startując w zespole o bardzo dziwnej nazwie. Jaki był tytuł ich pierwszego przeboju?

4) Czwórka sympatycznych polskich wokalistów z powodzeniem uprawia różnego gatunku muzyki, nie wyłączając standardów swingowych. One właśnie znalazły się na wydawanym niedawno albumie grupy „In The New Mood”, firmowanym przez szeski „Supraphon”. Jak nazywa się zespół i kto wchodzi w jego skład?

5) Doskonały wokalista i pianista pod pseudonimem z Poznania zasłynął w duecie z Grażyną Łobaszewską (m. in. „Autostopem do słońca”). Ostatnio spotkać go można w zespole towarzyszącym Elenie Dzoka. O kim mowa?

6) Jakich zmarłych artystów scen wspominał w nostalgicznej piosence „Czas ołowiu” solista Budki Suflera — Felician Andrzejczak?



Fot. Archiwum

7) Widoczna na zdjęciu artystka, nazywana niekiedy „babką rocka”, grała w filmie „Tommy”. Mimo swoich 46 lat jest wciąż w wyśmienitej formie. Światowy rozgłos zapewniła jej ostatnio płyta z „prywatną tancerką” w tytule. Jakiej jest prawdziwe imię i nazwisko artystki?

8) Obecny szef elektronicznej zalogi Kapitana Nemo stawiał pierwsze kroki w zespole triumfującym na I Lubelskiej Gieldzie Piosenki. „Złoty helikopter” nie zrobił jednak furory, podobnie zresztą, jak wykonujący go zespół. Jak się on nazywał?

9) Był wirtuozem harmonijki ustnej i wytrawnym znawcą muzyki dwunastu taktów. Jego imieniem dedykowała utwór „Skazany na bluesa” popularna grupa Dżem. O kim mowa?

10) Kto jest autorem zabawnych tekstów wkonanych przez Ireneusza Dudka we wcieleniu „Dudiego” i z jaką grupą był on do niedawna związany?



Fot. Andrzej Tyszkowski

11) Ile płyt wydała dotąd widoczna na zdjęciu grupa? Podaj tytuły.

12) Z jakiej kasety popularnej grupy heavy metal pochodzi nastrojowa ballada „Jaki był ten dzień” i kto jest jej autorem?

13) Ta niezwykła, zaledwie 27-letnia wokalistka jest zarazem kompozytorką, autorką tekstów, pianistką, szefową własnej grupy, właścicielką studia i producentem nagrań. Zasłynęła piosenką związaną z wichrem i wzgórzami gdzieś w kraju Albionu. Ostatnio zaś pokazał się jej piąty, rewiacyjny album. Jaki nosi on tytuł?

14) Uśmiechnięta na zdjęciu wokalistka jest absolwentką szkoły cyrkowej. Wielokrotnie występowała w Polsce i Grand Prix w Sopocie zjednała



Fot. CAF

jej ogromną renomę. Niedawno piosenkarka nagrała znakomitą płytę w jednym z krajów skandynawskich. W jakim?

15) Odejście Jarego — wokalisty, autora tekstów i osobowości estradowej — zmieniło oblicze Oddziału Zamkniętego. Jak nazywa się nowy solista tej grupy?

16) Co oznacza skrót — termin Hi-Fi?

17) Prawdziwe nazwisko — Robert Zimmerman. Sławę estradową zapewniła mu ballada „Odpowiedź niesie wiatr”, którą śpiewała też Maryla Rodowicz. Mówią o nim — buntownik ery rocka. Jego pseudonim estradowy?

Pytania opracował:
Istvan Grabowski

Pocztą literacką

Violetta S. Lublin. To rzeczywiście wierszowany pamfletnik przeżyć. Dopowiedziałbym jeszcze: książka życzeń i zażaleń. Dla Pani samej ten zapis może mieć jednak dużą wartość i spełniać rolę terapeutyczną. Literackich wartości nie znalazłem.

Lech M. Giżycko. Skoro Pan od lat wysła swoje utwory do nas, niech przynajmniej raz przeczyta w tej rubryce z uwagą, co o nich sądzimy. Otóż sądzimy, że odbieramy jako praktykowanie uprzejmych grafitów. Zapytywałem już kiedyś Pana, czy nie żal Panu pocztowych znaczków. Niech mnie Pan zrozumie, ale następnych listów nie będę nawet czytał. Pański upór nie budzi we mnie podziwu. Ta lawina słów, jaka tak obficie wycieka Panu z długopisu, zasypie autora i poźrebie. A przecież może Pan pożytecznie wykorzystać swój czas i ocalić. Życzę Panu, z okazji Nowego Roku, tego serdecznie.

Leszek B. Warszawa. Piżmo Pan: „Sądze, że moje „Miniatury” spodobały się”. Tak, są interesujące, ale jako prywatny zapis człowieka, któremu pobyt nad morzem dał impuls do zawartych w nich spostrzeżeń. Jest to jednak przede wszystkim popis wiedzy o kulturze antycznej i światowej literaturze. Dobrze, jeśli te wiedzę posiadamy. Nie może to być jednak przyczyną literackiej publikacji.

Droży moi korespondenci! Otrzymuję listy, które znamionują rozwój literacki ich autorów. Sprawa ta, iż corocznie mamy na łamach „Kamienia” piętnaście — dwadzieścia debiutów, najlepszej poetyckich, rzadko — niestety — prozatorskich bądź z dziedzin krytyki. Ci autorzy są nam wdzięczni i nie tracą kontaktu z naszym dwutygodnikiem. Od czasu do czasu otrzymujemy listy uskarżających się na zbyt surowe osady utworów. Zwykle tyle nadziei, a w odpowiedzi ostre słowa. Przyznajcie jednak, że ostatnio kierujemy jedynie do upartych i niepoprawnych grafitów, nie pozwalających sobie w żaden sposób wytłumaczyć, że marnują papier i swoje życie. Ci którzy przysyłają z pełnym zaufaniem nawet bardzo słabe utwory traktowani są w tej rubryce z powagą i pełnym zrozumieniem dla potrzeby wypowiedzi innej niż zwykły list albo rozmowa.

Wierszami i prozą najlepszych zainteresowanych Lubelski Oddział Związku Literatów Polskich, Wydział Lubelskie i Lubelski Oddział Krajowej Agencji Wydawniczej. W księgarniach można nabyć już osiem tomików młodych współpracowników Dziennika Literackiego „Kamień” a kilka tomików i książek po pozytywnych ocenach krytyków i wydawców, znajduje się na etapie przygotowania do druku. W naszym przekonaniu istnieje więc tryumfowy stosunek redakcji do nieznanych dotąd autorów, a wielu — właśnie dzięki pierwszym publikacjom w „Kamieniu” — zostało przez wydawców zauważonych.

Składając najlepsze noworoczne życzenia współpracownikom i korespondentom Dziennika Literackiego, dołączam pragnienie, aby wszystkim im wiodło się, by owocowały ich talenty i pracowitość: nowych pozycji wydawniczych, a początkującym udanych debiutów na łamach czasopism i pierwszych książek.

TJ

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych przenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać fragment tekstu autora, którego imię i nazwisko utworzą pierwsze litery 16 początkowych wyrazów pomocniczych. Czarne kratki w diagramie odpowiadają przerwom między wyrazami, a podwójne — między zdaniami. Wyrazy pomocnicze

- ostrze pług — 73, 22, 31, 15, 36, 64, 43.
- osłabia uderzenie lodu na most — 6, 29, 62, 53, 109, 17.
- z Pruszkowa do pisania — 28, 169, 25, 11, 65, 49.
- równanie terenu — 14, 55, 26, 71, 185, 33, 178, 119, 48.
- przedmiot czczony jako obiekt kultu — 37, 76, 24, 34, 8, 101.
- tytuł kardynała — 16, 21, 47, 66, 114, 130, 35, 52, 59.
- wieś wypoczynkowa pod Żywcem — 148, 79, 67, 32, 60, 96.
- naprzeciw Niedzicy — 5, 107, 45, 18, 138, 145, 75, 63, 69.
- padlinożerny ssak — 36, 58, 136, 39, 50.
- wystrzyżone kółko na głowie księdza — 9, 61, 112, 183, 30, 92, 40.
- elekcja — 7, 42, 83, 150, 197.
- wokół głowy na ikonie — 10, 68, 27, 108, 78, 156, 93.
- państwo w Afryce zach. — 23, 12, 77, 152, 99, 90, 80.
- miasto nad Wisłą z zamkiem krzyżackim — 19, 54, 122, 164, 111.
- wydanie — 4, 201, 135, 173, 89, 195.
- wielkość — 2, 100, 199, 129, 159, 170, 143.
- wyraz twarzy, wygląd — 153, 184, 139, 163, 198, 134, 126, 44, 181, 13.
- trzy pulki z dodatkami — 72, 84, 46, 113, 151, 137, 87.
- silnik wirnikowy — 174, 200, 125, 167, 110, 186, 85.
- pomyślny wynik — 1, 172, 33, 98, 142, 127, 132, 194, 70, 157.
- państwo europejskie — 161, 104, 147, 128, 180, 131, 120.
- stary ul — 188, 187, 106, 196.
- warsztat kowala — 86, 191, 118, 154, 171, 124, 144.
- sposób wypowiedziania dźwięków — 83, 168, 57, 166, 158, 115.
- podrzuca swe jajka — 81, 102, 94, 146, 97, 192, 74.
- opiekunka jakiejś dziedziny sztuki — 121, 20, 179, 162.
- ciastka z białek — 95, 177, 3, 189.
- opiumowa roślina — 103, 123, 116.
- gawron — 165, 155, 105, 160.
- wodny drogowosk — 91, 193, 149, 175.
- pisze wiersze — 190, 82, 182, 176, 117.
- pobudka działania — 133, 141, 41, 140, 51.

Rozwiązania należy nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231, 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bon książkowy wartości 500 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Nr 24 SZYFROGRAMU LITERACKIEGO

Było tak, jakby go przypadek wpakował na film, którego scenariusz niczego nie tłumaczy, którego bohaterowie nie wiadomo czego bronią, którego reżyser sam nie zna początku ani końca.

Roman Bratny
LOS

Nagrodę otrzymuje Janina Piaskowska, ul. Jasna 12 m. 18, 65-470 Zielona Góra.

Krzyżówka nr 26 szyfrogram literacki

	1	2	3	4	5	6	7
	17	18	19	20	21	22	23
32	33	34	35	36		37	38
	48	49	50	51	52	53	
62	63		64	65	66	67	68
75	76	77	78		79	80	81
90		91	92	93	94		95
104			105	106	107	108	109
118	119	120		121	122	123	124
132		133	134	135	136	137	138
146	147	148		149	150	151	152
160	161	162		163	164	165	166
174	175	176	177	178	179	180	181
189		190	191	192	193	194	195